

Ciocia Jadzia (1916-1994)

Zygmunt Wojski (*Wrocław*)

Zygmunt Wojski urodzony 30 lipca 1941 roku w Skierniewicach. W latach 1941-1966 mieszkał przy ulicy Łowickiej 105 w Skierniewicach. W latach późniejszych objechał służbowo, jako romanista-iberysta, całą Amerykę Łacińską, Hiszpanię, Francję, Rumunię, Niemcy i Portugalię. W magazynie „Culture Avenue” można przeczytać wspomnienia z tych podróży w cyklu **„Ameryka Łacińska, Hiszpania, Portugalia, Francja i Niemcy oczami polskiego iberysty”**.

Była jedną z trzech córek leśniczego Poborca i całe dzieciństwo spędziła w Puszczy Bolimowskiej w leśniczówkach i gajówkach. W Budach Grabskich mieszkała w pobliżu domu dziadków Janusza Reszki i opowiadała mi, jak to dziadek Janusza wołał do swojej żony: „Beniu! Lis kury dusi!” Znała i kochała Puszcę Bolimowską, jak mało kto. Była urodziwą kobietą. Poznała brata mojej Mamy, Zygmunta Łazęckiego (1915-1942) i pobrali się.

Zanim został wykończony ich drewniany domek pod samym lasem wujek Zygmunt zaangażował się do partyzantki i działał na terenie powiatu skierniewickiego, między innymi we wsi Mokra Lewa, skąd pochodził jego kolega z partyzantki, niejaki Baran. Wiem, że roznosili ulotki antyniemieckie.

Babcia Łazęcka, matka wuja Zygmunta, nie była zadowolona z tej jego działalności i często zwracała mu uwagę na niebezpieczeństwo, jakie mu grozi ze strony wroga. Wuj Zygmunt odpowiadał na to jednym zdaniem: „Pilnujcie swoich garnków!”

Któregoś dnia na podwórku dziadków Łazęckich na Starbacisze pojawił się typowy niemiecki motocykl z przyczepą. Byli to oficer niemiecki i jego tłumacz, który pytał babcię o wuja Zygmunta. Babcia odpowiadała, że nie wie, gdzie on może być. Wówczas zagrożono jej, że zabiorą w takim razie jego młodszego brata Tadeusza. W końcu ustalono, że wuj Tadeusz pojedzie z nimi tam, gdzie w istocie przebywał wuj Zygmunt, a było to pod samym lasem, na miejscu budowy domu, w którym potem mieszkała Ciocia Jadzia z synem Wiesławem, o rok starszym ode mnie. Zabrali wuja Zygmunta, który początkowo przebywał w więzieniu na Pawiaku, a potem, aż do tragicznej śmierci, w Oświęcimiu.

Rozpacz babci i Cioci Jadzi była ogromna. Ciocia Jadzia, ilekroć

wspominała te wydarzenia, zawsze płakała. Po zamordowaniu wuja Zygmunta władze obozu śmierci w Oświęcimiu wysłały do Cioci telegram w języku niemieckim treści następującej: „Ihr Ehemann ist gestorben” (Pani mąż zmarł). Ciocia pokazywała mi ten telegram. Aby zrozumieć jego treść poszła do biura notarialnego na ulicy Lelewela w Skierniewicach, gdzie znajoma notariuszka przetłumaczyła jej na polski tę straszną wiadomość. Można sobie łatwo wyobrazić, jak zrozpaczona była cała rodzina Łazęckich. Ciocia Jadzia jeździła jeszcze na Pawiak po odbiór ubrania wuja Zygmunta, co było kolejnym strasznym dla niej przeżyciem.

Przez całe życie Ciocia Jadzia pracowała jako sklepowa, także na Mokrej Prawej, dokąd jeździła na rowerze deszcz nie deszcz, wiatr nie wiatr, błotnistą polną drogą od lasu aż do wsi. Droga ta ma ponad kilometr długości. Klientela Cioci Jadzi zawsze miała o niej bardzo pozytywną opinię. Miała też szerokie znajomości wśród okolicznej ludności. W okropnym roku 1981, kiedy nawet herbaty nie można było kupić, na rowerach pojechaliśmy oboje z Ciocią do sklepu na Borowinach. Droga do tej przepięknej mazowieckiej wsi na skraju Puszczy Bolimowskiej wiedzie cały czas przez las. Ku naszemu zaskoczeniu w tak zwanym wówczas sklepie „Samopomocy Chłopskiej” na Borowinach półki się uginały pod paczkami różnorakiej herbaty. Wypełniłem nią cały mój plecak i miałem zapas na cały rok. Nie udałoby się to, gdyby nie fakt, że sprzedawczynią w tym sklepie była dobra znajoma

Cioci Jadzi. Gdy opowiadałem o tej wyprawie moim znajomym w Argentynie, nie mogli pojąć dlaczego po zwykłą herbatę trzeba było jechać na rowerze przez las i robić takie zapasy. No, ale ludzie w Argentynie jeszcze nie wiedzą, co to jest taki prawdziwy „fest” komunizm!!!



Jadwiga i Zygmunt Łazęccy, fot. arch. autora



Jadwiga z Poborców Łazęcka, fot. arch. autora

*

Moje wizyty u niezwykle gościnnej Cioci Jadzi zaczęły się, gdy byłem w ostatnich klasach szkoły powszechnej, bo wtedy właśnie pojawiły się w naszym gospodarstwie dwie krowy, które wypędzaliśmy na nasze pole aż na skraj Puszczy Bolimowskiej, czyli od naszego domu na ulicy Łowickiej blisko 3 kilometry. Domek Cioci Jadzi był od naszego pola bardzo blisko. W latach

80. jeździłem z Ciocią na rowerze do lasu na jagody. Podczas takiego zbierania przy pięknej, niemal upalnej pogodzie oboje śpiewaliśmy piosenki. Okazało się, że Ciocia pamiętała na przykład piosenkę „Kukułeczka” ze słowami Marii Konopnickiej i muzyką Zygmunta Noskowskiego („Po tym ciemnym boru kukułeczka kuka,/ z ranka do wieczora gniazdka sobie szuka”).

W tymże okresie zacząłem uczyć we Wrocławiu języka portugalskiego. Pewnego dnia, leżąc na leżaku u Cioci na podwórku, jałem śpiewać po portugalsku brazylijski marsz karnawałowy z repertuaru Nary Leão, pod tytułem „A banda” (Orkiestra). Przechodząca właśnie obok mnie Ciocia rzekła: „Wiesz co, Zygmuś, to znakomita muzyka do tańca. Fajnie by się tańczyło przy takiej muzyce!”

Innym razem podczas mojej wizyty zjawiła się u Cioci jej kuzynka, Fredzia Mildowa w towarzystwie warszawianki, która podawała się za śpiewaczkę operetkową. Więc ja natychmiast poprosiłem ją, by coś koniecznie zaśpiewała. Najpierw tłumaczyła się, że jest nieco zachrypnięta, bo za długo moczyła nogi w zimnej wodzie Rawki. Aliści ja mam, nie chwaląc się, dość obszerny repertuar operetkowy i gdy śpiewając najpierw sam kilka melodii doszedłem do „Arii Adeli” z „Zemsty nietoperza” (*Ja się śmieję ha, ha, ha*) pani warszawianka nie wytrzymała. Nasz śpiew rozlegał się szeroko i daleko po okolicy. Spłoszona nieco tym naszym występem Ciocia wyszła ze swego letniego

mieszkanka, gdzie coś pitrasiała i rzekła ostrzegawczo: „Zygmuś, ciszej trochę, bo zaraz tu zbiegną się ludzie, aby sprawdzić, co się dzieje!”

Na zakończenie było tango, już w letniej kuchence. Porwałem do tańca panią Fredzię, ale jej pies, sądząc, że mam wobec niej niezbyt dobre zamiary, jął na mnie skakać i niemal gryźć. Było bardzo wesoło u mojej niezapomnianej chrzestnej Cioci Jadzi, osoby szlachetnej, gościnniej ogromnie, niezdolnej w żadnej sytuacji do najmniejszej złośliwości wobec innych. Świeć Panie nad Jej duszą!

Zobacz też:

Trzy młyny nad rzeką Łupią

„Polacy nie gęsi
i swój język mają” –
Jerzy Korey-
Krzeczowski (1)



Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007) w swoim domu w Toronto, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Jerzego Korey-Krzeczowskiego poznałam krótko po przyjeździe na emigrację do Toronto, w 2001 r. Pracowałam wówczas w „Gazecie”, największym dzienniku Polonii w Kanadzie. Jerzy Korey przyszedł do mnie do redakcji, mieszczącej się w polskiej dzielnicy, przy ul. Roncesvalles. Wydał mi się ciekawym człowiekiem, który wiele przeżył. Umówiłam się z nim na

rozmowę. I tak się zaprzyjaźniliśmy. Gdy w 2003 roku zaczęłam redagować „List oceaniczny” – comiesięczny dodatek kulturalny „Gazety” – spotykaliśmy się regularnie, raz w tygodniu. Jerzy Korey chciał, żebym spisała jego wspomnienia. Opowiadał mi o dzieciństwie, młodości, wojnie, emigracji i wielu ciekawych osobach, które spotkał w życiu. Używał przydomka „Korey” – jak mi powiedział – była to zbitka słów Korczak i Rey. Korczak – bo takim herbem pieczętowała się rodzina Krzeczowskich, a Rey, od kultu Mikołaja Reya – poprzedniego patrona Gimnazjum w Kielcach, które kończył Jerzy Krzeczowski. Mottem stało się dla Jerzego Korey-Krzeczowskiego stwierdzenie poety, że „Polacy nie gęsi i swój język mają”.

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do 1951 roku, czyli do wyjazdu na emigrację do Kanady i od 1951 roku, do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto (*nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003*).

*

Wspomnienia do 1951 roku – Polska, Rumunia, Niemcy

*

Życie jest ciekawe. Moje było bardzo ciekawe. Zawsze

uważałem, że przez życie należy iść przebojem. Cała moja filozofia życiowa opierała się na tym, że muszę iść naprzód, i naprzód, i pokonać wszystkie przeszkody. Jeżeli nie mogę normalnie przejść przez bramę, to muszę przejść naokoło. Ale przejdę. I to było moje życiowe credo.

Rodzina, rodzice, dzieciństwo



Ojciec Antoni Marian Krzeczowski



Matka Zofia Emilia Wanda z Chmielewskich

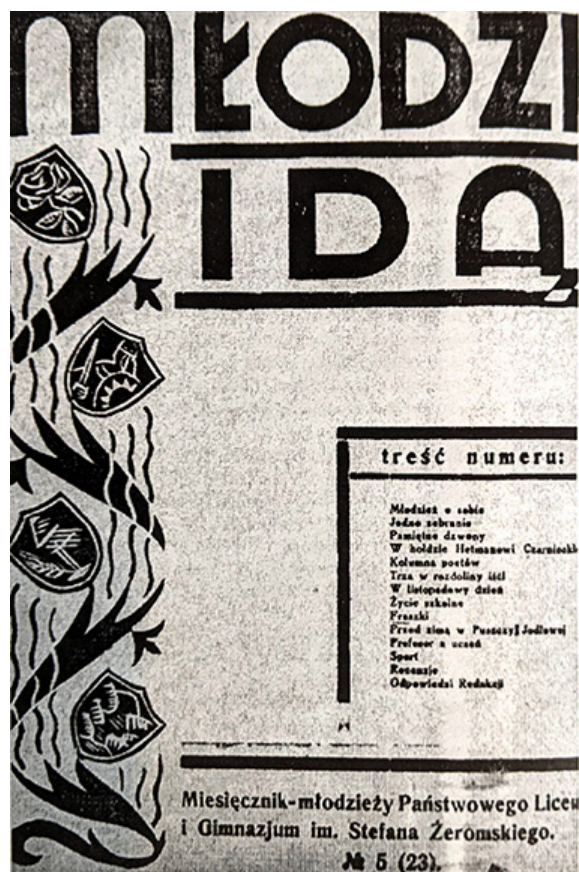
Urodziłem się 13 lipca 1921 roku jako syn Antoniego Mariana i Zofii Emilii Wandy z Chmielewskich. Moi rodzice mieszkali w Kielcach, ojciec był sekretarzem prokuratury Urzędu Wojewódzkiego. Rodzice poznali się przed wojną, a zaręczyli się w 1914 roku przed samym wyjazdem ojca, który został zmobilizowany, a cały sąd ewakuowany. Ponieważ ojciec skończył Gimnazjum z rosyjskim językiem wykładowym i wspaniale mówił po rosyjsku to go od razu zatrudniono i wkrótce wywieziono do Kijowa. Przebywał tam w randze kapitana rosyjskiej armii i zajmował się aprowizacją. Potem wybuchła rewolucja, ojciec szybko zrzucił rosyjski mundur, poszedł do polskiego komitetu obywatelskiego w Kijowie i został ewakuowany do Polski. Zanim jednak wrócił, trwało to parę ładnych miesięcy. Po powrocie ojca z Kijowa, rodzice zdecydowali, że się pobiorą. Ślub odbył się w Kielcach, 3 lipca 1920 roku. W następnym roku ja przyszedłem na świat. Wychowywała mnie mama, która zajmowała się domem, gdy ojciec pracował. Nie mieliśmy już żadnych majątków, byliśmy biedni jak mysz kościelna. Majątki były skonfiskowane po powstaniu styczniowym. Ojciec był sędzią i żył z pensji sędziowskiej. Z dawnych czasów nic nie zostało, wszystko co było, to w dawnych wiekach.

Rodzice byli bardzo tradycyjni, mieliśmy więc bliski kontakt z innymi członkami rodziny. Siostra mojej matki, Maria Szulcowa, została moją mamą chrzestną. Jej mąż był inżynierem geometrą i

przeprowadzał pomiary wszystkich majątków w województwie kieleckim. Wspominam o tym, bo potem, gdy musiałem uciekać z Kielc, jego kontakty okazały się niezwykle przydatne, gdyż wszystkich znał i wiedział, gdzie mnie może ulokować.

Pamiętam, gdy miałem ok. 3 lat, moja ciotka, Maria Szulcowa, zabrała mnie na przejażdżkę wielkim, wspaniałym wozem. Wujostwo byli dość zamożni, więc mieli szofera. Byłem bardzo podekscytowany przejażdżką. Przez siedem lat wychowywałem się jako jedynak, potem przyszła na świat moja siostra, Zosia. Mama ścięła wtedy swoje piękne, bardzo długie włosy.

Szkoła



„Młodzi idą” okładka pisma Gimnazjum w Kielcach.

Skończyłem gimnazjum im Stefana Żeromskiego w Kielcach. Kiedyś szkoła nosiła imię Mikołaja Reja, ale już za moich czasów nazwa została zmieniona. Tradycje Żeromskiego były szkole bliskie i wciąż żywe, gdyż był on kiedyś jej uczniem. Mówiliśmy o nim „starszy kolega”. Nawet na jednej z ławek szkolnych widniało jego nazwisko. Wszystko o nim wiedzieliśmy, czytaliśmy jego książki. Szkoła miała humanistyczny kierunek, a siedmiu z moich kolegów zostało pisarzami. Moim bliskim kolegą był Wiesiek Jażdżyński, który potem wykładał przez pewien czas w szkole dziennikarskiej, a mieszkał w Łodzi. Jedna z jego książek jest o naszej klasie. Korespondowałem z nim od 1990 roku, bo przedtem nie chciałem go narażać na kontakty z taką osobą jak ja. Innymi kolegami, także z mojej klasy, byli Józef Ozga Michalski, znany polityk, Marian Przeździecki, pisarz poeta, Marian Sołtysiak, sławny dowódca drużyny wybranieckiej, działający w podziemiu. Starszym o rok kolegą był pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, który wprowadził mnie do redakcji pisma szkolnego „Młodzi idą” i dawał mi pierwsze wskazówki literackie. Przez trzy ostatnie lata pobytu w gimnazjum byłem redaktorem naczelnym tego pisma. Pobyt w szkole był bardzo ciekawy, a od kiedy Wiesław Jażdżyński napisał książkę o naszych szkolnych latach, często wracam do tego okresu oraz wyjątkowych i niezwykłych ludzi.

Wojna

Potem przyszła wojna. Cóż więc mówić o wojnie?

Już na początku zacząłem działać w Organizacji Bojowej, Tajnej Armii Polskiej. Zajmowaliśmy się dywersją. Robiliśmy zamieszanie wśród Niemców, a mieliśmy do nich dobre dojście, bo nasz profesor germanista był tłumaczem u niemieckich władz i przekazywał nam różne informacje. Dzięki temu mogliśmy szczegółowo opracować zamachy. Wysadziliśmy kilka mostów oraz wiele pociągów, głównie transporty wojskowe, które szły na front i wyłukliśmy sporo Niemców. Wkrótce zostałem mianowany podporucznikiem, a za rok porucznikiem. Wojnę zakończyłem w randze kapitana. Pamiętam, że w 1941 roku byliśmy z żoną na Sitkówce, jakieś parę km od Kielc. Jest to ładnie położona miejscowość letniskowa, a my mieliśmy tam działkę. Byliśmy z moimi rodzicami na skraju lasu, gdy zobaczyliśmy przelatujące, niemieckie samoloty. Zorientowaliśmy się, że szykuje się wojna z Rosją. To było 21 czerwca, jeśli się nie mylę.



Jerzy Krzeczowski w Kotlicach, 1944 r.

Niedaleko, w dominium Kotlice, gdzie mieszkałem po ucieczce z Kielc, były rozległe tereny trawy nasiennej. Tereny te zamieniliśmy na lotnisko. Nazywały się Tarnina 1 i Tarnina 2. Lądowały tam samoloty z Anglii, przywożące do Polski różnych ludzi. Spali oni potem w moim pokoju, a na drugi dzień jechali do Warszawy. Na lotnisko zrzucono też broń dla AK. Bardzo dużo było tych zrzutów, bo w kieleckim działała dobrze zorganizowana partyzantka. Znajomi koledzy z partyzantki u nas się zaopatrywali. W majątku była gorzelnia, mieliśmy 96-procentowy spirytus. Niemcy zabierali produkcję, więc dzieliliśmy się z partyzantami, zanim Niemcy ją zabiorą. Spirytus się sprzedawało i w ten sposób zarabialiśmy.

Kiedy Rosjanie weszli do Kotlic, zobaczyli, że jest tam gorzelnia, rozlali spirytus i bardzo szybko wszyscy byli pijani. Postaraliśmy się, żeby dostać na kwaterę sowieckiego pułkownika. On się

zgodził, postawił wartę i dzięki temu przeżyliśmy. Cała wieś była grabiona, kobiety gwałcone. Następnego dnia znalazłem rosyjskiego „kamandira”, który miał samochód. Zgodził się zawieźć nas do Kielc za 2 litry spirytusu i papierosy.

W czasie wojny jeździłem na tajne komplety na Uniwersytet Jagielloński, na którym studiowałem prawo. Studiował tam też wówczas sztuki teatralne przyszły papież, Karol Wojtyła. Jeden z profesorów ciężko chory leżał w łóżku i egzaminował nas z łóżka. Dyplomu nie dostałem, przecież uczelnia była tajna. Wydano mi zaświadczenie po polsku, że zwróciłem wszystkie książki i ... (w nawiasie) – zdałem wszystkie egzaminy, podpisane przez Małeckiego, który był wtedy rektorem tajnego uniwersytetu polskiego.

Po wojnie

Zaraz po wojnie Józef Ozga Michalski z mojej klasy został przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej przy Urzędzie Wojewódzkim w Kielcach. Poszedłem wtedy do niego i mówię – Józek, trzeba ratować skarby w polskich majątkach, bo wszystko się zniszczy. Rosjanie już strzelali do obrazów. Ja mogę się tym zająć w Urzędzie Wojewódzkim, a jeśli nie, znajdziemy jakieś miejsce. A on na to – akurat potrzebujemy Inspektora Wojewódzkiego do działu kultury i sztuki. Dał mi list polecający do majora Wiślicza, który był wtedy wojewodą kieleckim. Dzięki

rekomendacji Ozgi Michalskiego, zostałem mianowany inspektorem ds. kultury. Jeździliśmy po okolicznych majątkach i zwoziliśmy wszystko, co było można. Te uratowane skarby stanowią obecnie zbiory Muzeum Narodowego, oddział w Kielcach. Zwieźliśmy między innymi księgozbiór należący do księcia Krzysztofa Radziwiła, który mieszkał przed wojną w województwie kieleckim - ok. 60 tys. książek. Zbiory jeszcze nie zostały skatalogowane, kiedy zadzwonił szef gabinetu ministra kultury i sztuki z pytaniem, czy można by je z powrotem przekazać właścicielowi, ponieważ on pracuje naukowo, a jednocześnie jest szefem protokołu dyplomatycznego. Ja się oczywiście zgodziłem. Za tydzień zadzwonił Radziwił i zapytał, czym się może odwdziaczyć. A ja na to - niech mi pan pomoże wyjechać za granicę do służby dyplomatycznej. Za parę tygodni, bodajże w lutym 1946, wezwano mnie do ministerstwa spraw zagranicznych i poinformowano, że jest do objęcia placówka dyplomatyczna w Bukareszcie. Potrzebny był konsul, który będzie jednocześnie prawnikiem. Ponieważ miałem wykształcenie prawnicze, zdobyte podczas wojny na tajnych kompletach na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaproponowali mi objęcie tej placówki. Potrzebowali ludzi wykształconych, którzy władali językami. Tolerowali Radziwiła, który był księciem, więc dlaczego nie mieliby tolerować mnie. Zaraz po wojnie ci, którzy o tym decydowali, byli ludźmi z dawnej dyplomacji z prawdziwego zdarzenia. Oni zorientowali się, że mam kwalifikacje.



Ślub z Ireną Latacz, lipiec 1944 r.

Na placówkach

Rumunia

To była niezwykła podróż. Jechaliśmy 12 dni, w przyczepionym do pociągu specjalnym wagonie. Z Polski pojechaliśmy najpierw do Bratysławy, a stamtąd do Jugosławii. Pozrywane mosty powodowały, że nie wszystkie miejsca były przejezdne, ale nie mieliśmy innej możliwości, trzeba było jakoś przejechać. Z Jugosławii dostaliśmy się nad brzeg Dunaju. Dunajem można się było przeprawić na drugą stronę rzeki. Tam przyjechały po nas auta. Akurat wtedy strajkowano i nie można było nic załatwić. Trzeba było zapłacić łapówkę rumuńskiemu dygnitarzowi, który zarządzał tym odcinkiem. Stamtąd już dojechaliśmy do Bukaresztu. Ambasada polska dostała do dyspozycji dawny pałac

Magdy Lupescu, kochanki króla Karola, który jeszcze żył i mieszkał w południowej Ameryce. Królowa Maria też za moich czasów żyła i była królową matką, a syn Michał, po wygnaniu ojca, został królem. Po przyjeździe do Bukaresztu, musieliśmy być przedstawieni królowi. Obowiązywał bizantyński protokół dyplomatyczny. Trzeba było przejść trzy kroki, stanąć, ukłonić się. Król nic. Znow trzym kroki, stanąć, ukłonić się. Wtedy król skinął głową. Potem jeden krok i król jeden krok. Wówczas ambasador mógł zacząć swoją mowę. Trenowali nas, jak to robić. Stałem obok ambasadora jako drugi do przedstawienia królowi. Ambasador przedstawił mnie po francusku, a król się zapytał - jak długo jest pan w moim kraju? - Przyjechałem cztery miesiące temu, ale już mówię pańskim językiem - odpowiedziałem. I zacząłem mówić po rumuńsku. Król bardzo się zdziwił, ale był zachwycony. Wywiązała się dłuższa rozmowa już po rumuńsku, protokół dyplomatyczny się załamał. - Musi pan wkrótce przyjechać do mojego pałacu - powiedział król. I zaprosił mnie do siebie. Język rumuński jest szalenie ciekawą mieszaniną różnych języków, ma rdzeń łaciński, dużo francuskich słów i ok. 20 procent słów pochodzenia słowiańskiego. Ja miałem w szkole niemiecki przez 6 lat, łacinę przez 8 lat, angielski 4 lata. A oprócz tego znałem trochę rosyjski, gdyż mój ojciec, który skończył rosyjskie gimnazjum zawsze liczył po rosyjsku, było mu łatwiej niż po polsku. Miałem wtedy fantastyczną pamięć, więc mogłem się w parę miesięcy nauczyć języka. Po czterech miesiącach pobytu w Rumunii,

prowadziłem wykłady w radio Bukareszt po rumuńsku na temat polskiej kultury.

Król Michał dowiedział się, że mam do dyspozycji awionetkę RWD 13, bo odebraliśmy od Rumunów, polskie samoloty, które w 1939 roku uciekając z Polski, wylądowały w Rumunii. Jeden z tych samolotów zatrzymaliśmy dla ambasady. Oblatywałem nim wszystkie polskie ośrodki. Miałem pilota, pana Krawczyka, który był instruktorem króla i uczył go latać. Wobec tego, mój samolocik miał prawo stać na królewskim lotnisku, co było niezwykłym zaszczytem. Podczas mojego pobytu w Bukareszcie, do Rumunii przyjechali Rosjanie, żeby zmusić króla Michała do rezygnacji. Ale on powiedział – możecie mnie wysiedlić z kraju, ale ja nie zrezygnuję, zawsze będę królem. Nie złożył rezygnacji i nadal ma swoje biuro w Szwajcarii. Korespondujemy ze sobą do tej pory. Zawsze się podpisuje Rex. Król zwykle dyplomatom odwołanym z placówki dawał jakieś wino ze swoich królewskich piwnic. Gdy został oficjalnie powiadomiony, że będę odwołany i wyjeżdżam z Rumunii (było to w ostatnim czasie, kiedy był jeszcze królem), przysłał mi 2 litry swojego wina z piwnicy królewskiej wraz z pozdrowieniami. Bardzo sobie ceniłem ten gest. Potem ja mu się zrewanżowałem. Szereg lat później, gdy zostałem Wielkim Mistrzem Orderu Świętego Jana Jerozolimskiego, mianowałem go Royal Protector.

Pomiędzy placówkami

W Rumunii byliśmy prawie dwa lata. Niedługo potem wyjechaliśmy do Polski, gdyż zostałem formalnie przeniesiony na inną placówkę, ale jeszcze nie było zdecydowane na jaką. Przez krótki czas miałem być radcą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. W Polsce, żona została u moich rodziców w Kielcach, a ja dojeżdżałem do Warszawy.

Proponowano mi wyjazd na placówkę konsularną w Goeteborgu w Szwecji. Pewnego dnia zostałem poproszony do dyrektora departamentu personalnego, żeby definitywnie omówić tę sprawę. Kiedy przyjechałem do Ministerstwa, w poczekalni siedział kolega z MSZ-tu, który, jak się okazało, mówił po szwedzku. Ja szwedzkiego nie znałem. – Dokąd Pan jedzie? – zapytałem. – Wysyłają mnie do Baden-Baden, choć ja nie mówię po niemiecku – odpowiedział kolega. A ja na to – a mnie wysyłają do Szwecji, choć nie mówię po szwedzku. Może się zamienimy? Pan pojedzie do Szwecji, a ja do Baden-Baden, bo ja mówię swobodnie po niemiecku. Mówię też po francusku, a tam jest francuska strefa okupacyjna. Do dyrektora departamentu, weszliśmy więc obydwaj, cała sprawa została załatwiona i w ten sposób dostaliśmy nominacje. Akredytacja przy francuskiej strefie okupacyjnej w Niemczech, to dość długa formalność, która musiała przejść przez różne szczeble we Francji.

Powiedziano mi więc, że mogę wyjechać najpierw do Berlina, żeby się zapoznać z problemami niemieckimi, będąc jednocześnie przydzielonym do konsulatu generalnego. To mi bardzo odpowiadało, ze względu na moją wojenną przeszłość.

Chciałem mieć satysfakcję. Niemcy, u których wynajmowałem pokój, zupełnie nie wiedzieli jak się zachowam w stosunku do nich. A to, że byłem normalnym człowiekiem, z którym można o wszystkim porozmawiać, bardzo ich zdziwiło. Pobyt w Berlinie był ciekawy. Konsulat znajdował się w sowieckiej strefie okupacji, a ja mieszkałem w strefie francuskiej. W tym czasie moja żona była w ciąży. Zostawiłem ją w Kielcach, żeby dziecko urodziło się w Polsce. Żona powiedziała, że nie chce, żeby urodził się Cygan w Rumunii, albo Niemiec w Niemczech. Dziecko musi urodzić się w Polsce. Mój syn miał przyjść na świat ok. 24 marca 1948 roku. Ja wobec tego, 21 marca wyjechałem samochodem z Berlina przez Poznań do Kielc. Ale musiałem się zatrzymać w Poznaniu na noc. Gdy przyjechałem do domu, okazało się, że już jestem ojcem. Zbliżały się wtedy święta, moja żona coś robiła w domu i to przyspieszyło poród. Bardzo mnie dotknęło, że się spóźniłem. Ale żona twierdziła, że przyjechałem akurat.

Posiedziałem jakiś tydzień w Kielcach z rodziną i zdecydowaliśmy, że jak dziecko będzie miało ok. trzy miesiące, to przyjadę po nich i zabiorę do Baden-Baden. Po tygodniu wróciłem do Niemiec. Konsulat remontowali, mieszkałem więc w Rastaedt pod Baden-Baden. Po trzech miesiącach przywiozłem żonę z dzieckiem.

Baden-Baden

Pobyt w Baden-Baden był bardzo ciekawy. Francuzi traktowali tę strefę jak swoją własność. Pierwszym językiem dla dyplomatów był język francuski, niemieckiego używano jako drugiego.

Baden-Baden to słynne uzdrowisko. Dostaliśmy bardzo ładną willę, w której mieszkał kiedyś Turgieniew, do prywatnego użytku. Dom był pięknie położony, na szczycie góry. Na tej placówce spotkałem wielu bardzo ciekawych ludzi, np. margrabiego von Baden, kuzyna księcia małżonka królowej angielskiej. Poznałem też miejsca, gdzie się rozgrywała historia. Generałowie, którzy organizowali przewrót przeciwko Hitlerowi, pochodzili z Badeni i ich rodziny tam żyły.



Jerzy Krzeczowski z synem Andrzejem, Baden-Baden, 1949 r.

Niedaleko Baden-Baden, w górach znajdowały się piękne tereny narciarskie. Tylko pół godziny drogi samochodem do wysokich gór, więc mogliśmy jeździć na nartach.

W Baden-Baden było bardzo dużo konsulatów, ok. 60-ciu. Francuzi dali nam prawa, które normalnie konsulom nie przysługują. Np. Konsulowie na samochodzie mają zwykle tabliczkę CC, Consul Consular, a my mieliśmy CD, Corpus Diplomatic. Najbardziej bałem się Rosjan, bo przecież Rosjanie też mieli tam swoją placówkę. Więc nie bardzo utrzymywałem stosunki dyplomatyczne z Rosjanami, tyle co oficjalnie wypadało.

Raz pojechałem do Polski na wakacje, a kiedy wracałem, na lotnisku czekał na mnie cały konsulat. Wszyscy. Zastanawiałem się, co się mogło stać. - Pański zastępca uciekł - powiedzieli. Był majorem wojska polskiego, szefem misji wojskowej i jednocześnie wicekonsulem. Przyjechałem do biura i dowiaduję się - wyjechał, zabrał wszystko ze sobą i zniknął. Za trzy dni dostaję list z pieczętą z Zurychu. List jest prywatny do mnie. Mój wicekonsul pisze - niech pan przyjedzie do Zurychu, czekam na pana. Na drugi dzień zdecydowałem się przyjechać. Melduje się w hotelu, pytam o niego, a oni mówią - niestety, dziś rano wyjechał. Amerykanie go zabrali. Prawdopodobnie chciał się ze mną skontaktować i namówić mnie na ten sam krok.

Starłem się mieć jak najlepsze stosunki z różnymi dyplomatami,

między innymi z Francuzami, z Włochami, ze Szwedami. To był bardzo ciekawy okres. Mieliliśmy mniej więcej 200 przyjęć rocznie, na które trzeba było pójść, a potem się rewanżować. Pamiętam raz zrobiliśmy przyjęcie u nas w domu na 150 osób. Żona miała masę roboty, ale bardzo się wszystko podobało. Innym razem byliśmy zaproszeni z żoną do konsula generalnego Francji. Siedziałem niedaleko jego żony, a moja żona siedziała koło konsula. Francuzi lubili się trochę przekomarzać. Akurat poprzedniego dnia podano do wiadomości, że Konstanty Rokossowski został marszałkiem Polski. Więc zwrócili się do mnie z pytaniem – jak Pan, jako polski patriota reaguje na to, że Rosjanin został marszałkiem Polski? A ja na to – to rzeczywiście niezwykła nominacja, ale muszę państwu powiedzieć, że pierwszym cudzoziemskim marszałkiem Polski był Francuz, marszałek Foch. To ich zaskoczyło i odpowiedzieli – bardzo dyplomatyczna odpowiedź. I już mnie nie męczyli.

Z Francuzami miałem bardzo dobre stosunki. Doskonale wiedzieli, co i gdzie się dzieje, we wszystkim się orientowali. Uważałem, że skoro Rokossowski został marszałkiem, to najwyższy czas się wycofać. Zacząłem myśleć, czy bym nie mógł wywieźć z Polski moich rodziców. Okazało się to jednak niemożliwe, bo w żaden sposób nie można było wydostać ich na paszport konsularny. Niedowierzali nikomu. Tylko moja siostra przyjechała do nas z wizytą na parę tygodni, ale rodzice już nie.

Jednego dnia, późną jesienią 50 roku, do Baden-Baden przyjechała grupa „mołojców”, polskich kurierów dyplomatycznych, którzy właściwie byli rosyjskimi agentami. Niektórzy nawet mówili po rosyjsku, a nie po polsku. Przyszli do naszego domu, żeby mnie odwiedzić. Ja akurat byłem chory, miałem ciężką gripę. Leżałem w pokoju na górze, z wysoką gorączką. I to mnie uratowało. Żona do nich powiedziała – niestety, mąż jest bardzo chory. Ale oni nie dowierzali – czy możemy go odwiedzić? – Proszę bardzo. Chcieli się przekonać. Dopiero gdy zobaczyli, że naprawdę jestem obłożnie chory i nic nie wiem, co się dzieje na świecie, dali za wygraną. Pojechali gdzie indziej i tamtego kolegę zabrali do Polski. Przewidywali, że gdy się go formalnie odwoła, może nie wrócić. Chcieli więc uprzedzić jego decyzję, dlatego go porwali. Dali mu zastrzyk usypiający i tak przewieźli przez granicę. Szereg dyplomatów w ten sposób wróciło.

Gdy doszedłem do siebie, poszliśmy z żoną na lody i powiedzieliśmy sobie, że trzeba się szybko zwijać. Ale jeszcze chciałem poradzić się mojego ojca. Nie zawiadaniałem urzędu, tylko pojechałem Orient Expressem do Polski. Zatrzymałem się w Kielcach, spotkałem się z ojcem, rozmawialiśmy. Ojciec mówi – synu ratuj się. Tu nie masz po co wracać, ratuj się. Zostawiłem ojcu i mamie trochę pieniędzy, pożegnałem się z nimi i to było wszystko. Rano pojechałem do Warszawy, wszedłem do Ministerstwa, udałem się do kolegi, który był jednym z

dyrektorów departamentu, i któremu mogłem ufać. Poszedłem do niego, a on mówi – coś ty zrobił, już na ciebie czekają, granica polsko-niemiecka została zawiadomiona, że jak będziesz wracał, mają cię zatrzymać. Ja cię muszę uratować, dam list kurierski z ważnymi papierami i pojedziesz do Czechosłowacji, a stamtąd do Niemiec. Wsiadłem więc w Orient Expres, który jechał do Baden-Baden przez Pragę. I tak wróciłem do domu.

Kiedy przyszedłem na drugi dzień do biura, zaraz po 10 rano wchodzi sekretarka i mówi – Panie konsulu tu jest pułkownik amerykański, który chce Pana zobaczyć. – Proszę bardzo – mówię. Pułkownik wszedł, przedstawił się i mówi – przyszedłem, żeby się upewnić, czy został pan ostrzeżony w Warszawie. A ja na to – tak zostałem ostrzeżony. – My prosiliśmy naszego człowieka, żeby pana ostrzegł.

Po decyzji o wyjeździe Francuzi zaczęli mi składać różne oferty. Marszałek Francji Guillaume, który został Resident General de Maroc, zaproponował mi placówkę – pracę w administracji w jego biurze w Maroku. Ale moja żona się sprzeciwiła. – Nie – mówi, to za daleko od Europy, za daleko od świata, lepiej nie. I przekonała mnie. Zdecydowaliśmy się więc poczekać na coś innego.

Wezwałem swojego przysłanego z Polski wicekonsula, który należał do partii komunistycznej. Ponieważ ja nie należałem,

więc musiał mnie pilnować. Zwracam się więc do niego - panie P., zdecydowałem zrezygnować ze stanowiska i wszystko panu przekazuję, tu jest kasa, tu są pieczęcie, paszporty, blankiety, tu jest wszystko, pan to przejmie i zawiadomi jutro Warszawę i niech zrobią, co chcą. A on na to w płacz. - Panie konsulu - mówię - jak pan może mi to zrobić, przecież pan mnie musi zabrać, ja nie jestem komunistą, jestem tylko tu wysłany jako komunistą, ale ja pana podziwiam i chcę wyjechać razem z panem za granicę, ja nie chcę zostać i wracać do Polski. Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Wzięli mnie do wojska, boso chodziłem, bo nie było butów, nabawiłem się choroby płuc. Chciałem wyjechać za granicę, żeby być od tego jak najdalej. - Ja na to - panie drogi, ja panu wszystko przekażę, pan oficjalnie zawiadomi Warszawę, a ja będę czuwał, załatwię wizę przez moich Francuzów czy Amerykanów i pana stąd zabiorę. - Czy ja mogę na to liczyć? - Absolutnie. Zacząłem więc zabiegać o wizę do Kanady dla niego. Bo ja już miałem załatwioną, przez Lestera Pearsona, ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych, a późniejszego premiera Kanady. Ambasador na początku nie chciał się zgodzić, ze względu na chorobę płuc mojego zastępcy - przecież my takich nie bierzemy. Ja na to - zróbcie wyjątek, człowiek nie może wrócić do Polski, nie jest komunistą i trzeba go uratować. Weźcie go do Kanady, jak przyjedzie, to dacie go do leczenia i się wyleczy. I w końcu dostałem tę wizę dla niego. Parę miesięcy pobytu w Kanadzie i go wyleczyli. Ten człowiek był tak szczęśliwy. On, jego żona i dziecko. Do końca życia był mi

wdzięczny.

Gdy trzeba było zlikwidować nasze eleganckie mieszkanie w Baden-Baden, Francuzi dali nam do dyspozycji małą willę na skraju miasta pod lasem. Powiedzieli - pan tam będzie mieszkał, naokoło jest nasz posterunek, będziemy pilnować domu. Jest pan w bezpiecznym miejscu. Stamtąd przewieziemy pana do portu, z którego pan odjedzie. Mamy pana pod opieką, niech się pan nie boi. I rzeczywiście żandarmeria francuska cały czas nas pilnowała. W Baden-Baden była z nami nasza wierna służąca, Ania Muzyczka. Jej mąż zamordował Niemca, który go prześladował w obozie i dostał w Niemczech wyrok dożywotniego więzienia. Nie można go było stamtąd wydobyć. Ania więc do nas mówi - ja z państwem do Ameryki jadę. Ania dostała wizę do Ameryki jako uchodźca. A my pojechaliśmy do Kanady. Ania była z nami w kontakcie, taka wierna służąca, jak rodzina. Kochała tego naszego chłopaka i ciągle się z nim bawiła.

Nasz syn miał wychowawczynię, Niemkę, która była siostrą katolickiego arcybiskupa. Nazywała się Frau Kohlmayer. Niemka ta była bardzo nam oddana i nauczyła Andrzeja mówić po niemiecku, co oczywiście denerwowało moją żonę. A Andrzej był dwujęzyczny, oba języki szybko opanował i nie miał z tym żadnych trudności.

Miałem też bardzo oddanego szofera, Niemca Norberta, który

dawniej był osobistym szoferem Feldmarszałka Scheinhorsta. Pochodził z rodziny niemieckich socjalistów, którzy nienawidzili Hitlera. Jego ojciec był więziony. On mi był mi tak wierny, jak tylko Niemiec może być wierny swojemu przełożonemu. W czasie naszego pobytu zdecydował się ożenić i prosił mnie, żebym był na jego ślubie i weselu. On był naszym kontaktem z zewnętrznym światem, gdy oczekiwaliśmy na wyjazd do Kanady. Mogłem mu ufać.

Gdy przyszedł dzień wyjazdu, pojechaliśmy do Bremen, który jest dużym portem. Miał nas odwieźć szwedzki statek, Anna Salem. Statek ten zapełniony był do ostatniego miejsca emigrantami, jadącymi do Kanady. Płynął do Halifaxu. Odpłynęliśmy w pięknej pogodzie, mijaliśmy Danię, widzieliśmy z daleka Kopenhagę i wypłynęliśmy na pełne morze. Za parę dni zaczęła się burza. Mieliśmy płynąć osiem dni, a płynęliśmy dwanaście dni. Burza była tak straszna, że statek się nie posuwał, był rzucały w tę i z powrotem. Nie wiedzieliśmy, czy wyjdziemy z tego żywi, bo to był stosunkowo mały statek. Wszyscy ludzie chorowali na żołądek, lub wymiotowali, nikt nie mógł znieść tego kołysania. I tak nam zeszła podróż.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Jerzego Korey-Krzeczowskiego.

Część 2:

„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski
(2)

*

Jerzy Korey-Krzeczowski, ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta. Urodzony 13 lipca 1921 roku w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej. Studia prawnicze na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze (1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harwarda (1975). Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach (1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden (1948-51). Od 1951 roku w Kanadzie. Zmarł w Toronto w 2007 r.

Współczesny wymiar
nieudanej próby
Karskiego
zatrzymania
Holokaustu



David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

Monodram „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, której współautorami są Young i Derek Goldman, uwypukla ogromny ciężar misji Karskiego. Spektakl, prezentowany „off-Broadway” [w dniach 9 września - 16 października 2022 r.], miał swój debiut w Waszyngtonie jesienią 2019 r. i był także wystawiany przez Chicago Shakespeare Theater jesienią 2021 r.

Justine Jablonska (*Nowy Jork*)

Tłumaczenie: Bożena U. Zaremba

Mężczyzna wbija się w powietrze. Publiczność zamiera, po czym oddycha z ulgą, gdy ten bezpiecznie ląduje na deskach sceny. Jan Karski – dyplomata, działacz polskiego podziemia podczas drugiej wojny światowej i kurier, który przekazał światu informacje o ukrywanej wówczas Zagładzie, w czasie, gdy można było ją jeszcze zatrzymać – właśnie uciekł z rąk Gestapo, dosłownie prosto w ręce członków polskiego ruchu oporu, którzy przywrócą go do zdrowia.

Z melodyjnym wschodnioeuropejskim akcentem aktor grający Karskiego, David Strathairn, mówi publiczności, że po jego ucieczce, Gestapo aresztowało w ramach odwetu 100 Polaków. Potem rozstrzelało 32 z nich.

“Trzydzieści dwa istnienia ludzkie za życie jednego człowieka” powiedział mi współautor sztuki, Clark Young, określając tą scenę jako „moment dogłębnego poczucia klęski i traumy”, jakie przeżywa bohater.

Monodram „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, której współautorami są Young i Derek Goldman, uwypukla ogromny ciężar misji Karskiego. Spektakl, prezentowany „off-Broadway”

[w dniach 9 września - 16 października], miał swój debiut w Waszyngtonie jesienią 2019 roku i był także wystawiany przez Chicago Shakespeare Theater jesienią 2021, kiedy miałam okazję go zobaczyć.

Sztuka w skuteczny sposób przypomina nam o zasadach wyznawanych przez Karskiego - prawdzie i odwadze w obliczu sił potężniejszych od niego. Dzięki niej studenci Uniwersytetu Georgetown, na którym prawdziwy Jan Karski wykładał stosunki międzynarodowe, mają możliwość zapoznania się z jego życiem i działalnością. Od 2020 r., specjalistka od pedagogiki inkluzyjnej, Ijeoma Njaka, prowadzi tam zajęcia w oparciu o tę sztukę.

„Pokazanie, że nawet w ‘upadku’ jest jakaś wartość, dla studentów jest ogromnie inspirujące” mówi Young. Porażka Karskiego, kiedy światowi przywódcy nie zrobili nic po otrzymaniu dowodów na trwający Holokaust, w rezultacie którego zginęły miliony ludzi, była rzeczywiście przerażająca.

Tak jak Karski, urodziłam się w Łodzi i, tak jak Karski po wojnie, ja także wylądowałam w Ameryce. Kiedy dwie przyjaciółki z dzieciństwa zaprosiły mnie, żeby zobaczyć „Remember This” w Chicago, w pierwszym odruchu wzbraniam się. Zaniepokojona wiadomościami z ojczyzny, walczę z polską częścią mojej tożsamości. Mam jednak do Karskiego ogromny szacunek, więc idę. I jestem niezmiernie wdzięczna. Słowo, prawda, dawanie

świadczenia - wartości dla mnie nieśmiertelne - teraz szczególnie są istotne.



David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

Jan Karski urodził się w 1914 r. Miał za sobą przygotowanie wojskowe i praktykę w dyplomacji. Na początku drugiej wojny światowej, po ataku Niemiec i Rosji na Polskę, przystąpił do właśnie formującego się podziemia. Pracował jako kurier, przekazując Rządowi RP na uchodźstwie wiadomości o tajnych

operacjach niemieckich i sowieckich okupantów. Pod koniec 1940 r. został aresztowany przez Gestapo. Torturowano go przez trzy dni. Obawiając się, że może zdradzić konspiracyjne tajemnice próbował odebrać sobie życie. Po próbie samobójczej dobiegł do siebie w szpitalu wojskowym, dokąd przewiozło go Gestapo i skąd potem uciekł. Scena ucieczki jest w sztuce sceną przełomową.

„Remember This” rozpoczyna się na początku drugiej wojny światowej, kiedy Niemcy zakładają getto w Warszawie, umieszczając jedną trzecią jej mieszkańców na terenie zajmującym niewiele więcej jak dwa procent powierzchni miasta. Przywódcy Żydowskiego Podziemia aranżują wejście Karskiego do getta, aby mógł potem złożyć raport Rządowi RP na uchodźstwie, jak również brytyjskim i amerykańskim urzędnikom państwowym. Zarówno on sam jak i działacze żydowskiego i polskiego ruchu oporu uważali, że jeżeli powie światu, co się dzieje, a „możni tego świata” dowiedzą się o tym, będą mogli to zatrzymać.

Karski wszedł do getta w 1942 r. dwa razy i zobaczył horror, który nam dzisiaj jest dobrze znany: głód, śmierć i wyniszczenie. W przebraniu obozowego strażnika dostał się później do obozu przejściowego, z którego tysiące polskich Żydów transportowano do obozu śmierci w Bełżcu.

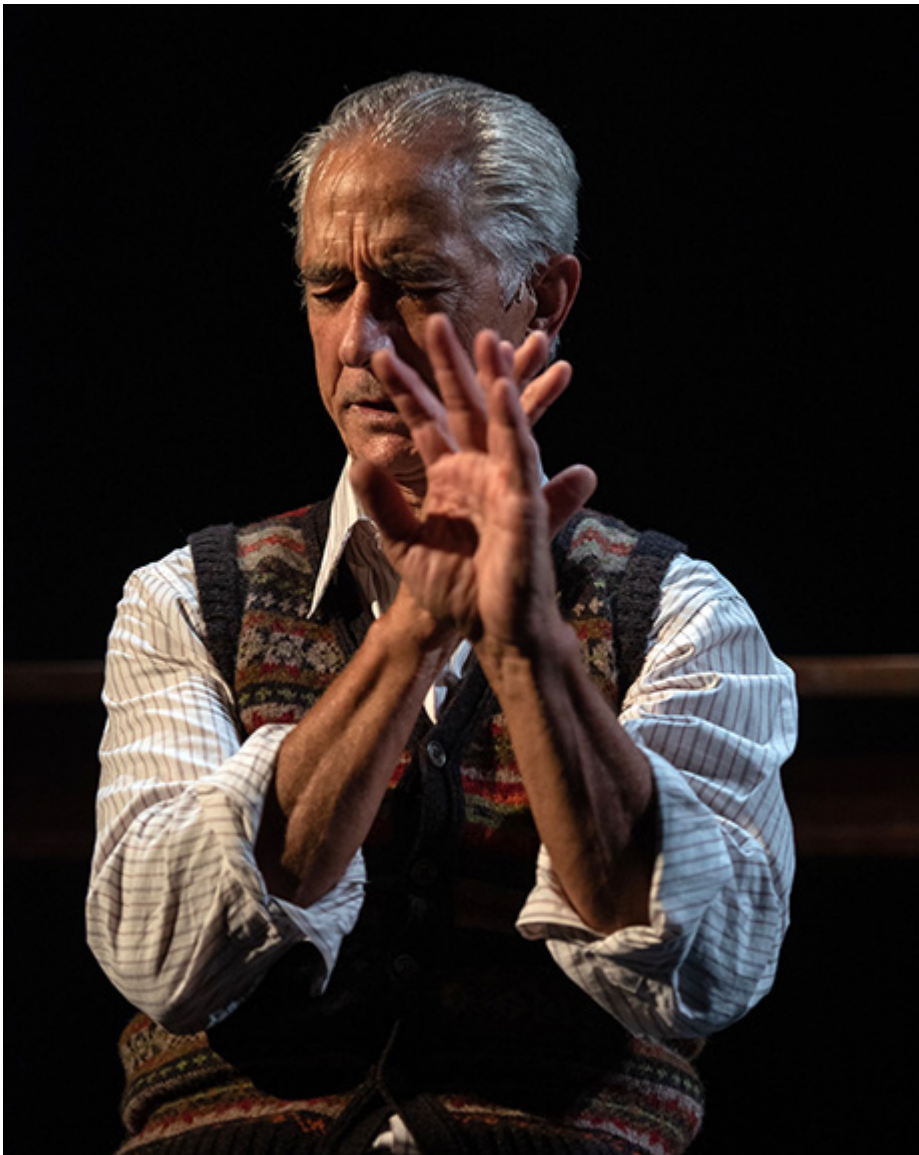
W 1943 r. Karski pojechał do Londynu i Waszyngtonu, żeby spotkać się z Winstonem Churchillem i Franklinem Delano Rooseveltem. Powiedziano mu, że Churchill jest zbyt zajęty i odesłano go do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych. Karski spotkał się z Rooseveltem, który zwracał się do niego per „młody człowieku” i dopytywał się o los koni w Polsce, ale nie zadał ani jednego pytania o straszne wiadomości przywiezione przez Karskiego z niemieckich nazistowskich obozów zagłady.

„Powiedz swoim przywódcom, że wygramy tę wojnę” powiedział Karskiemu Roosevelt. „Stany Zjednoczone nie porzucą waszego kraju”. Ale jak my dzisiaj wiemy, jak Karski oraz żydowscy przywódcy podziemia w Polsce dowiedzieli się później, wreszcie jak miliony pomordowanych nie miały już możliwości się o tym przekonać – ani Roosevelt, ani Churchill nie zrobili nic, żeby Holokaust zatrzymać.

Po spotkaniu z Rooseveltem Karski pozostał w Stanach Zjednoczonych. Opublikował swoje wspomnienia w 1944 r., a osiem lat później uzyskał doktorat na Uniwersytecie Georgetown w Szkole Służby Zagranicznej.

Był wykładowcą na tej uczelni przez czterdzieści lat, ale przez dziesiątki lat nie wypowiadał się publicznie na temat swoich wojennych przeżyć do czasu, kiedy w 1985 r. Claude Lanzmann przeprowadził z nim wywiad dla filmu dokumentalnego o

Holokaucie pt. „Shoah”. W pierwszej scenie, kiedy Karski się pojawia, siedzi milcząco, łapiąc z trudem powietrze. „Teraz wracam [pamięcią]” zaczyna. Ale nie jest w stanie kontynuować. Załamuje się i odchodzi poza kadr. Traumą, która nadal go dręczy widać jak na dłoni. Po chwili Karski powraca i zaczyna powoli, z widocznym trudem opowiadać.





David Strathairn jako Jan Karski w przedstawieniu „Remember This: The Lesson of Jan Karski”, fot. Teresa Castracane

W tym filmie dokumentalnym, Karski przytacza szczegóły swojego spotkania ze Szmulem Zygielbojmem, polskim przewodcą żydowskim, którego postać w dość wyraźny sposób jest zarysowana w sztuce. W przejmującej scenie Karski odczytuje list napisany przez Zygielbojma po zniszczeniu warszawskiego getta, podczas którego większość rodziny

Zygielbojma zginęła. Zygielbojm jest zrozpaczony, ale nadal wierzy, że coś da się zrobić. „Odpowiedzialność za zbrodnię wymordowania całej narodowości żydowskiej w Polsce spada przede wszystkim na sprawców, ale pośrednio obciąża ona również ludzkość całą, Narody i Rządy Państw Sprzymierzonych, które do dziś dnia nie zdobyły się na żaden czyn konkretny w celu ukrócenia tej zbrodni” mówi list – jak się okazuje – samobójczy.

Zygielbojm ma nadzieję, że jego ostateczny krok w końcu spowoduje działanie. Ale tak się nie dzieje.

Ijeoma Njaka z Georgetown przytacza zaciekle debaty studentów Georgetown: „Co to znaczy, mówić, ogłaszać, jednocześnie żyć tą prawdą w sytuacji tak ogromnego sprzeciwu?” pytają jej studenci. „Także dyskutują nad sprawą bycia świadkiem traumy, która nie jest ich, co jest szczególnie istotne biorąc pod uwagę zaangażowanie wielu studentów w sprawy równości rasowej i społecznej”, dodaje.

Dla mnie te sprawy są także istotne i dlatego sztuka robi na mnie takie wielkie wrażenie.

Karski zmarł w 2000 r. Dziesięć lat później, przyjechałam do Waszyngtonu, żeby studiować w szkole dziennikarskiej, po czym pracowałam jako dyrektor programowy w Ambasadzie RP, w

której Karski się zatrzymał, gdy przyjechał ostrzec Roosevelta. Wszędzie czułam jego obecność: na korytarzach Ambasady, w Sali Błękitnej, gdzie organizowaliśmy imprezy i gdzie Karski siedział podczas wywiadów, które widziałam na YouTube. Pewnego lipcowego popołudnia, w rocznicę jego śmierci, towarzyszyłam przedstawicielom Ambasady, aby złożyć wieniec na jego grobie, na stromych wzgórzach Cmentarza Mount Olivet. Nagrobek jest surowy - tylko jego nazwisko i nazwisko jego żony, daty urodzin i śmierci. Byłam także przy jego ławeczce na Uniwersytecie Georgetown, gdzie Njaka prowadziła ostatniej jesieni swoje zajęcia o Karskim.

Pójście na „Remember This” to moja pierwsza wizyta w teatrze od początku pandemii. Siedziałam jak zahipnotyzowana. Robiłam notatki na programie. I płakałam.

Płakałam ze wzruszenia nad Karskim i jego odwagą, nad bojownikami ruchu oporu, którzy nieustannie mu pomagali, ale także za współczesną Polską - nad tym małym państwem, które tak wiele znaczy dla mnie i dla moich polskich rodaków, a prawdopodobnie nie tak bardzo wiele dla innych. Myślę o tym, że największa zbrodnia przeciwko ludzkości dokonana się na naszej ziemi i jak przerażająca to spuścizna. Zastanawiam się, jak głęboko tkwi trauma w tych z pośród nas, którzy potracili członków swoich rodzin i w tych, których rodziny przeżyły. (...)

Na końcu sztuki Karski mówi o tym, co widział i czego był świadkiem: „Dręczy mnie to. I chcę, żeby tak pozostało”. Mnie też dręczyło i dalej dręczy. I chcę, żeby tak pozostało.

Zdjęcia z przedstawienia były zrobione podczas spektaklu w Shakespeare Theater Company w Waszyngtonie, w październiku 2021. Autorka: Teresa Castracane.

*



Justine Jablonska

Justine Jablonska jest amerykańską dziennikarką polskiego pochodzenia, autorką licznych artykułów, wywiadów i esejów. Obecnie pracuje jako redaktorka merytoryczna w Nowym Jorku.

Esej był opublikowany w Zócalo Public Square pt.

”

*

*

Historia przedstawienia: Sztuka „Remember This: The Lesson of Jan Karski” powstała w 2014 r. w The Laboratory for Global Performance and Politics na Uniwersytecie Georgetown, w ramach obchodów stulecia urodzin Jan Karskiego (wówczas pt. „Remember This: Walking with Jan Karski”). W rolę Jana Karskiego wcielił się David Strathairn, amerykański aktor filmowy i teatralny, nominowany do Oscara za rolę pierwszoplanową w filmie „Good Night, and Good Luck”) i laureat nagrody Emmy. W ówczesnej formie, z wieloosobową obsadą, sztuka pokazywana była m. in. w Muzeum Dziedzictwa Żydowskiego w Nowym Jorku i w warszawskim teatrze IMKA (z udziałem studentów Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie). W formie monodramu po raz pierwszy została pokazana w 2019 r. na Uniwersytecie Georgetown, podczas obchodów 100-lecia Szkoły Służby Zagranicznej, gdzie Jan Karski był wykładowcą przez prawie 40 lat.

Od tego czasu sztuka była wystawiona na deskach teatrów amerykańskich, m.in. w Gonda Theater (Waszyngton), Chicago

Shakespeare Theater (Chicago), Shakespeare Theater Company (Waszyngton) oraz Theatre for A New Audience (Nowy Jork). W planie są pokazy w Polsce w 2023 r.

Twórcy: Clark Young i Derek Goldman (scenariusz), Derek Goldman (reżyseria), David Strathairn (jako Jan Karski). Na podstawie sztuki powstał film, którego premiera odbyła się w lipcu 2022 r. na Festiwalu Filmów Żydowskich w San Francisco. Więcej informacji na stronie Jan Karski Educational Foundation – partnera projektu:

*

Zobacz też:

Ambasadorzy spuścizny Karskiego

Nieskończona dychotomia

Dzieci na wojnie



Wilek Markiewicz w swojej pracowni, czerwiec 2004 r., fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

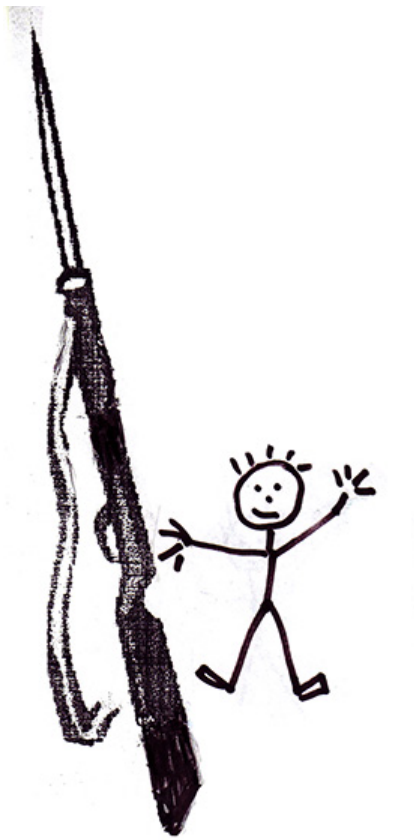
Dwudziestego czwartego lutego rozpoczęła się wojna na Ukrainie. Świat oniemiał i się zatrzymał w przerażeniu. Niewyobrażalne okrucieństwa miały miejsce w Europie podczas II wojny światowej, ból i cierpienie wciąż spotykają ludzi w

różnych częściach świata, gdzie toczą się wojny powodowane chciwością, walką o władzę, o panowanie nad światem... I nic? Człowiek się nie uczy? Dalej pozwalamy agresorom na akty terroru? Przez pierwsze dwa-trzy miesiące media bez przerwy podawały wieści z frontu. Oburzaliśmy się, gdy odkrywano na Ukrainie kolejną zbiorową mogiłę i krzyczeliśmy NIE!, rzuciliśmy się do organizowania pomocy dla uchodźców, dziesiątki wolontariuszy z całego świata przyjeżdżało na granicę polsko-ukraińską. Wydawało nam się, że protest świata i sankcje spowodują zatrzymanie tego koszmaru, który we współczesnym, jak nam się wydaje, cywilizowanym świecie, nie powinien się wydarzyć. Tymczasem wojna trwa. Codziennie giną ludzie, codziennie są okaleczani i okradani ze swojego życia. A my wróciliśmy do swoich obowiązków, pracy, wakacyjnych planów, spotkań. Ile przecież można oglądać koszmar wojny? Znieczuliliśmy się, zobojętnieliśmy. Przestaliśmy słuchać Wołodimira Zelenskiego i jego dziesiątek apeli do świata. Żyjemy swoim życiem. W tym kontekście sięgnęłam po dawny tekst autora magazynu, świetnego, choć często mrocznego artysty z Toronto, zmarłego w 2014 roku, Wilka Markiewicza. W okrutnych czasach najbardziej cierpią najslabsi, zależni od dorosłych. A wojna nie tylko okrada dzieci z ich dzieciństwa, ale i zabiera im przyszłość.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor

*

Wilek Markiewicz (Toronto)



Wilek Markiewicz, Gunchild

Otrzymałem incognito faks artykułu z *Toronto Sun*: „Zbyt młodzi by umieć czytać, dość starzy by umrzeć” pióra J. Bushinskiego. Tekst faksu był nieczytelny, lecz tytuł mnie wystarczająco zainspirował, by się zastanowić nad problemem dzieci bądź walczących, bądź pasywnych ofiar, z premedytacją lub bez.

Victor Hugo pisał o Gavroche’u, który zginął na barykadach Paryża. Holendrzy unieśmiertelnili historię chłopca, który zmarł z zimna zatykając palcem cieknącą tamę. Wojna jest wojną, czy

to przeciw ludziom czy elementom. Pisałem dawno o fakcie z Powstania Warszawskiego, który mi opowiedział naoczny świadek – Włoch służący w Wehrmachcie: dziewczynka może 13-letnia, w mundurku harcerskim, strzelała z automatu do Niemców. Szrapnel oderwał jej ramię i ona kontynuowała strzelając JEDNĄ RĘKĄ, aż do chwili śmierci. Insynuowanie, że rodzice ślą dzieci na śmierć (karykatura w złym guście akompaniująca artykuł w *Toronto Sun*), jest oszczerstwem: na przykład ci, którzy brali udział w Powstaniu jako dzieci, powiedzieli mi, że umknęli rodzicielskiej kontroli.

W Afganistanie, uzbecki lord wojenny (więc anty-Taliban), 14-letni i żonaty (!!!) przedstawił się zachodnim dziennikarzom jako dziedziczny szef, jednak akceptujący rady bardziej doświadczonych wujów. Powiedział, że dzieci dużo młodszy od niego biorą udział w walce. Jego zdaniem, dzieci są doskonałymi bojownikami, bystry, odważnymi i szybszymi od dorosłych. Więc walczące dzieci pozostaną prawdopodobnie tu i ówdzie faktem.

Teraz o dzieciach – pasywnych ofiarach: słyszeliśmy o historiach żołnierzy (prawdopodobnie upitych), którzy zawiązywali niemowlęta w worku z kotem i wrzucali do rzeki. Wiemy o niemowlętach nabitych na pal. Lecz przeważnie dzieci padają jako ofiary przypadkowo. Niektóre tragedie są bardziej do uniknięcia od innych. Weźmy za przykład dzieci izraelskich

osadników w palestyńskich terytoriach: ci osadnicy nie są cywilami lecz komandosami. Kolonizacja jest aktem wojennym, w którym każdy dom jest polem walki. Wystawianie dzieci na podobne warunki świadczy o totalnym braku odpowiedzialności ze strony rodziców.

Czasem dzieci są zaciągnięte do armii, jak w niektórych krajach Afryki. Praktycznie we wszystkich sytuacjach dzieci – ochotnicy działają poza nawiasem regularnych armii. Naziści zwali partyzantów bandytami. Dziś oni są zwani terrorystami. Dla mnie, nieregularni są bojownikami o wolność, gdy walczą w samoobronie i terrorystami, gdy działają jako agresorzy. Ci, którzy atakują cywilów są zawsze terrorystami. Różnica się zaciera między nieregularnymi, a lotnikami, którzy, w Afganistanie na przykład, z bezpiecznej odległości walili we wszystko co na dole.

*

Zobacz też:

Filozof bytu

Wilek Markiewicz - drzeworyty

Wrzesień pełen wrzosów i... wojennych wspomnień



Fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik (1932-2012)

W tym miesiącu dość często, przez ostatnie kilkadziesiąt lat, jeździłem pociągiem do Puław, do Kazimierza nad Wisłą, do Nałęczowa. Kiedy pociąg zostawiał za sobą Jedlińsk zwykle zaczynałem intensywnie obserwować skraj lasów wypatrując pojawiających się co pewien czas szerokich połaci wrzosów. Tak, to kwitnące wrzosy nadały nazwę dziewiątemu miesiącowi roku. Zresztą miesiąc ten bywał niekiedy nazywany świętomichalski, od imienin Św. Michała przypadających na 29 dzień września. Albo też w niektórych regionach nosi nazwę „pajęcznik” - po prostu od babiego lata, od wlokącej się po krzewach, po roślinach srebrzystej „pajęczyny”.

Pierwszy września 1939 roku był przede mną wymarzoną datą. Miałem iść do szkoły podstawowej w Łagiszy; tornister był spakowany wzorowo. Tymczasem przyszło nam udać się na wrześniową tułaczkę zwykłą furmanką sąsiadów. Z Łagiszy przez Dąbrowę Górniczą, Łosień, Niegowonice, Bukowno - klucząc po leśnych wertepach - po paru dniach dotarliśmy przez Pieskową Skalę do samej Skąły. Tam nas niemieckie oddziały zawróciły. Oto nastał czas okupacji. Zaczął się wyjątkowo dramatycznym widowiskiem. Wieczorem 11 września wróciliśmy z kilkudniowej tułaczki do domu. Kiedy wyszedłem na podwórze o szarej godzinie, uderzyła mnie okropna łuna unosząca się nad Zamkiem Piastowskim w Będzinie. To Niemcy palili synagogę, a wraz z nią kilkudziesięciu Żydów. To było moje pierwsze osobiste porażenie okupacją... Kolejne przyszło w postaci wieści ze Wschodu. To nielojalny sąsiad 17 września zaczął „wyzwalać” „uciskanych” przez „polskich panów kresowych” Litwinów, Białorusinów i Ukraińców.

Przeżycia polskiego września znalazły duży odzew w polskiej literaturze. Dość wymienić - przykładowo - reportaż Zofii Petersowej *Wrzesień Warszawy 1939* (1946), Melchiora Wańkowicza artykuły publicystyczne *Wrzesień żagwiący* (1947), Jerzego Putramenta powieść *Wrzesień* (1952), wreszcie Jana Parandowskiego wspomnienia *Wrześniowa noc* (1962) oraz Wandy Melcer *Wrzesień kobiety* (1965). Wizję jesiennych wrzosów zabrał w pamięci do stalagu żołnierz września,

Konstanty Ildefons Gałczyński, by po latach uformować ją w kształt poetycki *Pieśni o żołnierzach z Westerplatte*. Przede wszystkim polski wrzesień trafił – jako bohater – w świat ludowej pieśni ulicznej i podwórkowej. Pamiętamy, że w jednym z filmów powojennych Leonarda Buczkowskiego *Zakazane piosenki* uliczne śpiewaczki Alina Janowska i Hanka Bielicka śpiewały dziarsko piosenkę ze słowami Julii Ryczarowej: „Dnia pierwszego września, roku pamiętnego / wróg napadł na Polskę z kraju niemieckiego ...”.



Moneta upamiętniająca 70. rocznicę niemieckiej i rosyjskiej inwazji na Polskę w dniach 1 i 17 września 1939 r. oraz ostrzału polskiej bazy wojskowej Westerplatte w Wolnym Mieście Gdańsku, przód: popiersia trzech dowódców Westreplatte – por. Stefana Grodeckiego, kpt. Mieczysława Słabego i kpt. Franciszka Dąbrowskiego, dar Narodowego Banku Polskiego, kolekcja

Berlin State Museums, fot. Reinhard Saczewski, źródło
wikimedia commons

Dramat września nieśli za sobą na Zachód nasi poeci, zwłaszcza skamandryci. Pisał o tym w *Abecadle wspomnień* Antoni Słonimski, relacjonował mi też te przeżycia wrześniowe Stanisław Baliński, gdy w czerwcu 1984 roku spędzałem z nim wiele godzin dziennie w Acton Hospital w Londynie. W lipcu 1984 Maria Kuncewiczowa w swojej „Kuncewiczówce” Kazimierskiej pokazywała mi miejsca, w których żegnała idących na tułaczkę Słonimskiego, Balińskiego, Wierzyńskiego i Tuwima z żonami. Niebawem sama z mężem Jerzym podążyła ich tułaczym szlakiem.

Okrucieństwo „czasów pogardy” ja i moi rówieśnicy próbowaliśmy w jakimś stopniu neutralizować. Tworzyć rodzaj antidotum. Chodziło o stworzenie klimatu „przedwojenności”, normalności w świecie nienormalnym, w świecie – jak to określił Kazimierz Wyka – „na niby”. Uczyliśmy się intensywnie historii Polski; tej bohaterskiej; obyczaju naszych babć i dziadków. Bawiliśmy się przysłowiami w rodzaju:

„Wrzesień jeszcze w słońcu chodzi, babie lato już się rodzi”;
„Burze we wrześniu nieraz wywróżą, że rok następny da zboża dużo”;
„Pierwszy września pogodny, w zimie czas wygodny”;
„Chodzi wrzesień po rosie, zbiera grzyby we wrzosie”;
„Otóż wrzesień, a więc jesień, gospodarze ręce w kieszeń”;
„Gdy we

wrześniu tłuste ptaki, w zimie mróz nie lada jaki”; „Gdy wrzesień z pogodą zaczyna, zwykle przez miesiąc pogoda trzyma”; „Wrzesień miesiąc wyborowy, wyskoczył z trawy borowik”; „We wrześniu tak jak w sierpniu, tylko dni są krótsze”; „Gdy się wrzesień rozpoczyna, na majówkę gna rodzina”; „Kiedy wrzesień, to już jesień, wtedy jabłek pełna kieszeń”.



Fot. pixabay

Twórczość Wincentego Pola – którego dosłownie pochłanialiśmy – cała pachniała Polską, zwłaszcza *Pieśń o ziemi naszej* ze zwrotką:

Coraz ciszej – Wrzesień! Wrzesień!

Słońce rzuca blask z ukosa,

I dzień krótszy chłodna rosa,

Ha! I jesień polska jesień!

Bliski też nam był Julian Tuwim. W wierszu *Kartofle* (tom *Rzecz Czarnoleska*) z wyjątkową maestrią oddawał w formie poetyckiej wykopkowo-ogniskowy nastrój jesieni w pejzażu rustykalnym, gdzieś nad brzegami płynącej swojskiej Pilicy:

Czujesz? Ogniskiem pachną te pogańskie lata,

Gdy iskrami trzaskały zagwie jałowcowe

I dym wełnistym kłębem za wiatrem ulatał,

I marszczyły się z żaru kartofle surowe.

(...)

I nigdy tak kartofel podany do stołu

Nie nęcił, jak ten właśnie, z przyswędem i węglem,

Łapczywie wytrącony patykiem-pocięglem

Z siwej, gorącej mąki leśnego popiołu.

Z dłoni go w dłoń przierzucac! dmuchać, bo gorący!

Parzy obłuskiwaną spieczoną łupiną!

Tknąc w sól z papierka! Wchłonąć w usta chuchające,

Żeby się na skaczącym języku rozplynał!

Łódkami się przez siwą Pilicę wracało,

Z prądem, z wiatrem, pod wieczór, pod zorzę wiśniową,

W milczeniu, zamyśleniu, z gorejącą głową.

Tak się ogień, popioły i smutek poznało.

Dziś - na szczęście - nie wszystko we wrześniu musi się kojarzyć z bólem, choć przecież pod koniec tego miesiąca, przed laty, dogasało powstanie warszawskie. Jak Feniks z popiołów

bezustannie rodzi się nasze polskie życie tętniące przez lata,
kwartały pór roku i przez miesiące. Teraz po latach grozy mój
wrzesień znów się uśmiecha nitkami babiego lata w łagodnym
już słońcu. Do tornistra pakuję książki, lecz już nie moje...
Książki mej wnuczki Julisi. Coś się zmienia. Nie zmienia się
jedynie zachwyty nad wrzosami przy torze kolejowym za
Jedlińskiem...



Fot. pixabay

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury,
krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej,
profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*



Zobacz też poprzednie artykuły z serii „Nasze miesiące”:

Lipcowe rocznice

Upojny klimat czerwca

Pudełko z Uchty



Poczta polowa, fot. Greg Montani, Pixabay

Ryszard Sawicki (Kalifornia/Namysłów)

*

Uchta jest miastem położonym nad rzeką Uchtą, w dorzeczu Peczory, w rejonie Komi, na drodze do Workuty. W 1966 roku miasto miało pięćdziesiąt jeden tysięcy mieszkańców. Jest to ośrodek eksploatacji i przeróbki ropy naftowej oraz gazu ziemnego. Istnieje tam też przemysł metalowy, materiałów budowlanych i drzewny.

Pudełko zrobione jest z brzozonej kory, a jego dno i wieko są z brzozonego drewna. Pojedynczy płat kory nawinięto na obłe kawałki drewna, a końce połączono nacinając je w trójkąty i

wpuszczając jedno w drugie. Pudełko jest niemal kwadratowe, o wymiarach siedem na siedem centymetrów, ma prawie trzy centymetry grubości. Kora pociemniała z upływem czasu, jest w kolorze ciemnego ugru. Na ścianie bez trójkątnych cięć jest na pudełku napis: „ZSRR, Komi, ASRR, Uhta, 6.VII. 1940”.

Pudełko znalazłem wciśnięte pomiędzy papierowe torebki z monetami i orderami, w czerwonym kartonowym pudle, które włożone zostało do jeszcze innego pudła z listami, dokumentami i kilkoma albumami pełnymi zdjęć. Wszystkie te pudła z zawartością zostały przesłane z Chicago do Wrocławia kilka lat temu. Należały do zmarłego w 1996 roku Kazimierza Czerwińskiego, szkolnego kolegi mojego ojca Zbigniewa Romana Sawickiego. Na strychu w domu rodziców przeleżały do niedawna, raz tylko przeglądane, zaraz po otrzymaniu przez rodziców przesyłki. Dziś mam wolny dzień, nie tłumaczę, nie piszę, nie rysuję. To pierwszy ciepły dzień od dłuższego czasu. Ciepło jest również na strychu, więc można zaglądać w zakamarki. Skorzystałem więc z pogody, wydobyłem pudła pana Kazimierza ze strychu, otworzyłem je i tym razem dokładnie przejrzałem zawartość. Kilka pakietów listów przeglądałem szczególnie starannie, bo spodziewałem się znaleźć materiał do kolejnego artykułu o Syberii. Nie spodziewałem się jednak, że znajdę coś więcej. Pudełko z Uchty wpadło mi w ręce, gdy przechyliłem czerwone pudło chcąc wysypać jego zawartość na strychowy stół. Ciężkie torebki z monetami i orderami były

ułożone dość ciasno, a pudełko z kory, puste, lekkie, leżało na samym dnie. Było schowane pod „Kalendarzykiem na rok Pański 1943”, wydrukowanym przez ojców Franciszkanów w Jerozolimie dla Domu Polskiego prowadzonego przez siostry Świętej Elżbiety. W kalendarzyku są rozmaite zapiski pana Kazimierza (Kazika, jak nazywa go ojciec). Są też wydrukowane fragmenty „Listu do Matki”, poematu „O Piaście Dantyszku” i innych tekstów Juliusza Słowackiego. Niektóre teksty czytałem jeszcze na strychu, zaraz po odstawieniu pudełka. Wydały mi się komentarzem do losów pudełka i jego właściciela.

Patrz ty na mnie: ot, taki jak jestem, widziałem Boskich na oczach aniołów; ot, taki nędzarz, brudny od popiołów, obmyty krwawym narodowym chrzestem, nie mogąc przeżyć bez pociech do zgonu, poszedłem na górę Syjonu, cokolwiek duszy ulżyć płaczem zdrowym na zakrwawionym Grobie Chrystusowym; za moje martwe syny się pomodlić, a tego przekląć co ważył się spodlić; za tych, co zabił tyran i zabija, zmówić na grobie Ave Maria... na te mogiły, gdzie leżą krwawymi, jerozolimskiej przynieść trochę ziemi i grobowiec ich cichy, nieszczęśliwy, przysypać liściem srebrzystym oliwy, która Chrystusa uroszona łzami wyrosła drzewem litości nad nami („O Piaście Dantyszku”).

Nie wiem jak długo Kazik był w Ziemi Świętej. Domyślałem się, że

zdażył zwiedzić Jerozolimę. W kopercie z monetami palestyńskimi są metalowe krążki z dziurami po środku, (*five, ten, twenty mils*), dwa miedziaki bez dziur (*one, two mils*), jedna moneta o wartości pięćdziesięciu mil i jedna srebrna stu milowa. Dwie najstarsze, dwu i pięćdziesięciomilowe, pochodzą z 1927 roku, najmłodszymi są stumilowe, z 1940 roku. Zapewne wiele innych monet wydał Kazik kupując owoce na bazarach palestyńskich, rzucał je do kościelnych puszek lub dawał na tacę podczas mszy. Jako żołnierz polski w brytyjskiej służbie nie dysponował zbyt wielką gotówką, więc nie często wyjmował banknoty z kieszeni munduru. Monety przechowywał być może w pudełku z Uchty. Wchodząc do Świątyni Grobu Pańskiego mógł powtórzyć za Słowackim: *Patrzaj ty na mnie, ot taki jaki jestem, nędzarz... obmyty krwawym narodowym chrzestem.*

Jedząc soczyste owoce dojrzałe w słońcu Południa zapominał powoli o coraz bardziej odległej Północy. Zapominał? Czy można zapomnieć, choćby bardzo się chciało, okrutną niewolę? Czy można zapomnieć transport nieopalonymi bydlęcymi wagonami w głąb rosyjskiej, nieludzkiej krainy? Czy postój na jednej ze stacji, gdy otwarto ostatni wagon, do którego przenoszono w czasie podróży słabszych jeńców? Stali oni w kilku kręgach, objęci ramionami, martwi. Zamarznięci, scaleni. By uwolnić wagon dla innych więźniów, zamarznięte ciała cięto piłami, a fragmenty zwłok rzucono przy torach. Czy można zapomnieć ukąszenia rosyjskiej zimy, nawet mając usta pełne ożywczego

soku palestyńskiej pomarańczy? Czy można się kiedykolwiek zupełnie wyzwolić z takiej niewoli?

Pudełko z kory przypominało Kazikowi o tym co przeżył i jak przeżył. Chyba nie chciał by wszystkie wspomnienia się zatarły. W Iranie czy Palestynie był wolny, uwolniony z nieludzkiej ziemi, lecz dwaj okupanci wciąż zajmowali jego ojczyznę, którą podzielili między siebie jak jabłko. Jak owoc, który spadł z drzewa w jednym z ogrodów we Lwowie, w jesieni 1939 roku. O lwowskich jabłkach i gruszkach, czereśniach i wiśniach, myślał też zapewne jedząc bliskowschodnie, słodkie owoce. A zwłaszcza o wiśniach z ogrodu moich dziadków przy końcu ulicy Łyczkowskiej, które zjadali z kolegą Zbyszkim, moim ojcem, nim obaj zostali żołnierzami.

Fragment listu Juliusza Słowackiego do matki mógł Kazik powtarzać siedząc nad Jeziorem Genezaret. Powtarzać, jakby to był jego własny list do bliskich we Lwowie.

Przepędziłem całą noc sam jeden w Grobie Chrystusowym, modląc się za Ciebie i naszych. Byłem w Betleem, w Jerycho, w Nazaret, nad Jeziorem Genezaretańskim, gdzie Chrystus mi był przed oczyma... zdawało mi się, że jego spokojna postać stoi zawsze na błękitnej fali, z głową otoczona promieniami. Nad tem jeziorem spałem pod gołym niebem...

jaka to była chwila ile pamiątek oświecał mi ten księżyc nad cichym Genezaretańskim jeziorem, tego opowiedzieć nie mogę... Pomyśl, że byłem w grocie, gdzie pasterzom anioł zwiastował Narodzenie Chrystusa, że byłem przy Grobie Chrystusa i słuchałem Mszy odprawianej na nim za moją Ojczyznę.

W kalendarzu, pod innym krótkim cytatem ze Słowackiego, Kazik zapisał daty ze swej wędrówki ku wolności:

Dwudziestego sierpnia 1942 roku przejazd przez miasto Mrowy, 21 przejazd przez Aszchabad, 22 przyjazd do Krasnowodska, 25 przyjazd do Pahlewi.

Trzynastego maja 1942 roku mógł wysłać do Lwowa, już pod okupacją niemiecką, nie sowiecką, depezę przez Czerwony Krzyż:

Jestem zdrow, powodzi mi się dobrze, dobrze wyglądam, wszystkich mocno całuję i serdecznie pozdrawiam, kochana Babuniu bądź o mnie spokojna.

A 25 listopada dostał odpowiedź na odwrocie tej samej depezy,

pisaną ręcznym pismem:

Jesteśmy wszyscy zdrowi, ogromnie się ucieszyliśmy wiadomością, Twoja Babcia tęskni bardzo i mocno Cię całuje jak i my wszyscy, całujemy Cię serdecznie.

Depesza Kazika była pisana na formularzu angielskim, z napisami po angielsku i niemiecku. Wiadomości spisane zostały po polsku. Pod czerwonym prostokątnym krzyżem biegł czarny druk

From War Organisation of the British Red Cross and Order of St. John, Enquirer. Name: Czerwiński. Christian name: Kazimierz. Address: Plut. Podchr. A. P. z Rosji Nr 4002.

Rubryki *Relationship of Enquirer to Addressee* nie wypełniono. Dalej wydrukowano: *The Enquirer desires news of the Addressee and asks that the following message should be transmitted to him.*

I po niemiecku: *Der Fragsteller verlangt Ankunft ueber den Empfaenger, bitte um Weiter beforderung dieser Meldung.*

Poniżej adres: Lemberg, ul. Mączyńskiego 21 m.6, distr. Galizien, General Government. Było też kilka pieczętek: odcenzurowano, examined by censor, oraz Delegat P.C.K. przy Armii Polskiej na Wschodzie. Potwierdzeniem tej depechy była następna wysłana ze Lwowa 25 listopada 1942 roku, a doręczona plutonowemu podchorążemu armii polskiej z Rosji 7 grudnia 1942 roku. I ta depecha oznaczona była pieczętkami. U góry małą fioletową, prostokątną pieczętką: Deutsches Rotes Kreuz, Der Dennfrage beim Geralsouverneur Dienststelle Galizien, Lemberg. Odręczny numer: 4873/1/42. Dalej drobny druk czarny: Antrag durch das Deutsche Rote Kreuz, Praesidium Auslandsdienst Berlin SW61, Bluecherplatz 2, an die „Agence Centrale des Prisonniers de Guerre“.

Niemieckie władze, w przeciwieństwie do angielskich, wymagały by wiadomość zawierała nie więcej niż 25 słów („Hoechtzahl 25 worte“). I była rzeczywiście krótka: *Cieszymy się, że jesteś zdrowy, my wszyscy zdrowi, pozdrawiamy cię i całujemy serdecznie, Babcia i cała rodzina.* Innej korespondencji z roku 1942 nie ma wśród papierów, które odnalazłem w pudle. Za to są listy od znajomych, od osób cywilnych, które tak jak Kazik ocalały po zsyłce na Syberię, ale zanim wróciły do sił by podróżować dalej, zostały skierowane do rozmaitych obozów przejściowych od Iranu po Indie. Jedną z nich była Helena Kurzejowa, nauczycielka, która w listopadzie 1942 roku przebywała w Teheranie. List z datą 20.XI.1942 dotarł do

adresata w styczniu 1943 roku.

Panie Kaziku! Za pamięć serdecznie dziękujemy. Nie odpisałam na list ani Panu ani Panu Michałowi, bo mi okazje uciekały, nie dopilnowałam. Teraz daję przez bliskiego sąsiada bo przyjechał do żony, która właśnie mieszka z nami w szafasie! Miło było czytać listy od swoich znajomych, że nawet poniekąd od swoich bliskich. Panowie bliscy i moi. Żyliśmy się, to prawda, no ale teraz dzielą nas góry wysokie i dalekie. Mamy jednak nadzieję, że Bóg dobry da nam znów się zobaczyć w swoim kraju, do którego tak wszyscy tęsknimy. Może nadejdzie chwila, o której marzymy, wcześniej aniżeli nam się zdaje. Ja na przykład wołałabym tu przetrwać i stąd jechać prosto do Ojczyzny. Chociaż Afryka też ciekawa, ale droga trochę mogłaby być przykra. W ostatecznym razie wołałabym już węże zaklinać w Indiach, ale wybór, niestety, do mnie nie należy. Jak uznają za słuszne, tak będzie. Na razie nam to nie grozi, ale każdy miesiąc może coś nowego nam przynieść. Jak się Pan czuje w tej pustyni? Bo my to jak w mieście, na przepustkę do Teheranu możemy chodzić ile kto chce.

Miasto na ogół ładne, wszystkiego pod dostatkiem, byle mieć za co kupować. Gdyby tak można było mieć te pieniądze, które mieliśmy w Kilabie, to mielibyśmy tu raj. Można dostać

wszystko to, co u nas było w Polsce. Wokoło nas piękne góry, na których leży śnieg, dlatego i u nas zimno. Noce chłodne, ale zdrowe powietrze, czyste, mroźne. Czujemy się więc dobrze, byle tylko tak dalej było. No, Panie Kaziku, proszę trzymać się zdrowo i cało, wracać do Rodziny, do swoich. Jedźcie pierwsi, a my w ślad za Wami. Tymczasem ściskam serdecznie, Ciocia serdecznie pozdrawia, a jeśli wolno nawet i ściska, od Zosieńki serdeczne uściski i ładny dyg.

Tęsknotę do kraju łączyła Helena z nadzieją, że do Ojczyzny jest prosta droga. Wprawdzie liczyła się z tym, że czasy niepewne, *każdy miesiąc może coś nowego przynieść*, lecz nie wątpiła, że Kazik i jego towarzysze broni już są na drodze do Polski, jadą pierwsi, a cywile podążą wkrótce za nimi. W międzyczasie mogła się jeszcze pojawić na horyzoncie Afryka, ale to nie psuło nikomu dobrego nastroju, cieszyli się więc widokami pięknych gór ozdobionych czapami śniegu. Zimne noce nie były wszak nocami na Syberii, więc mróz nie był tak dotkliwy. A Kazik był już na pustyni, bliżej Morza Śródziemnego, bliżej *kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów nieba* (C.K. Norwid, „Moja piosenka”). Tęskno też było im wszystkim *jeszcze do rzeczy innej, której już nie wiem, gdzie leży mieszkanie, równie niewinnej*, lecz nie musieli bać się, że tęsknoty przyjdzie odłożyć na potem. Odległe potem, które jest *gdzieś na wszystkiej ziemi ziem, jak w niebie, gdzie Polską,*

Rusią, Litwą, Ukrainą, cało-Słowiaństwem wracają do Ciebie jako sztandary, kiedy rozwiną, sny, czucia, pieśni, i myśli, i czyny, do Ciebie, pieśni i czynów przy-czyny (C.K.N., „Bądź wola Twoja”). Na razie mówili sobie z nadzieją na jutro: *bądź wola Twoja, jak jest między nami, którym już wolno i cało-swobodnie*. Na razie Kazik był „już” na pustyni, a Helena „jeszcze” w pięknych górach Persji.

Helena nie dowiedziała się chyba, jak Kazik „czuł się na pustyni”. W następnym liście, którego sama nie opatrzyła datą, ale który adresat otrzymał 14 maja 1943 roku (o czym świadczy jego odręczna notatka u góry pierwszej strony listu) pisze o tym, że od ich wspólnego znajomego, Michała, dowiedziała się o przeniesieniu oddziału, w którym służył Kazik w inne miejsce. List napisała z tego samego obozu pod Teheranem, czyli z „Delegatury MPOS, Obozu Cywilnego nr 1, szałas 15”.

Panie Kaziku! List Pański, za który naprawdę serdecznie dziękujemy, sprawił nam wielką przyjemność. Nie spodziewałam się już od Pana wiadomości gdyż, jak wiedziałam z listu Pana Michała, jest Pan zupełnie gdzie indziej. Ale muszę Pana skarcić. Czemu Pan robi sobie uszczerbek, przecież wiem, że Wy nie macie tego za dużo. Dziękuję bardzo, ale proszę myśleć o sobie więcej. Może Bóg da, że w Polsce jeszcze się spotkamy, to będę mogła się

zrewanżować. Naprawdę tak nieraz myślę o Was, tak się zżyliśmy i tacy jesteście nam bliscy. Gdyby to można było tu Was czym przyjąć, niestety odległość zbyt wielka. A tu inne warunki niż tam były. Można tu dostać czego dusza zapagnie, a tam nie było nic. Szczęśliwi jesteśmy, żeśmy się stamtąd wyrwali. Wspomina Pan o Lidce, Panie Kaziku. Trzeba się z tym pogodzić, że zmieniała ona miejsce pobytu, zmieniała też znajomości i środowisko. Jednak tym nie trzeba się przejmować, to jest życie, Pan jeszcze młody, trzeba być twardym i silnym. Życie wiele uczy, szczególnie dzisiejsze. Panie Kaziku, słyszał Pan pewno o tych, którzy byli w Kozielsku. Proszę sobie wyobrazić, że i mój mąż tam był. Co ja mam o tym myśleć? To jest dopiero los! Ale ja żyję nadzieją, że tak być nie może. Mam nadzieję, że jeszcze się z mężem zobaczymy. Panie Kaziku, gdy Pan napisze do nas, proszę podać adres do swojej Rodziny w kraju, a ja stąd ich powiadomię o Panu przez Polski Czerwony Krzyż. Sądzę, że list jeszcze mnie tu zastanie, bo tak różnie jest z naszą daleką wycieczką. Kto wie kiedy ona będzie. Proszę też pamiętać, że jestem Helena, a nie Jadwiga, bo nie chcieli mi wydać listu. Serdecznie pozdrowienia i uścisk dłoni od Cioci. Proszę pisać. Dziękuję za wszystko, Helena.

Wiadomości do i od rodzin w kraju nie podróżowały łatwo. Jednak rozmaite wieści krążyły po świecie ogarniętym wojną i

niewolą. Rodziny zaczynały się dowiadywać nawet o tych, którzy byli w Kozielsku. Nie opłakiwały ich jeszcze, bo wierzyły, iż tak nie mogło być. Więc modlili się wspólnie, rodzice, dzieci, żony: Ty, pod krzyża stojąca boleścią, z ofiarą w sercu... jakbyś wewnętrznej męki potęgami stanęła wyżej śmierci... Matko Bolesna, módl się za nami. Modlili się, czekali, wzajemnie wspierali i pozdrawiali.

Kazik dostał jednak wkrótce listy od Lidki. W notatniku, pod kolejnym cytatem ze Słowackiego (*Bóg naszych ojców i teraz jest z nami, więc nie dopuści upaść żadnej klęsce, wszak póki był z naszymi ojcami – byli zwycięsca*) napisał: *list z Teheranu otrzymałem 14.V.43, listy z domu 21.V.43, od Wiesi 31.V.43, od Lidki 3.VI, 22.VI i 5.VII. 43.* Pisał do Lidki i Heleny w tym samym dniu, 7 lipca. O jego bezpośrednich kontaktach z krajem świadczy kolejna depesza na blankiecie z niemieckim nadrukiem, instrukcjami i pieczętkami. Treść depeszy została napisana 24 lutego (pieczętka urzędowa jest z 19 marca) 1943 roku.

Kochany Kaziku! Dotychczas dostaliśmy od Ciebie jedną wiadomość, teraz paczkę, którą bardzośmy się ucieszyli i za którą serdecznie dziękujemy. Całujemy Cię serdecznie, razem z Babcią.

List Heleny i depesza od rodziny potwierdzają nie tylko to, że

doszły listy Kazika, ale i przekaz pieniężny i paczka. Ze swego
zołdu, o którym Helena wiedziała, że *nie ma tego zbyt dużo*,
potrafił oszczędzić tyle, że wystarczyło na wspomnienie jednych
i drugich bliskich, zarówno tych we Lwowie, jak i tych w
Teheranie. Żołnierz-tułacz miał swoje ograniczone potrzeby, ale
je ograniczał jeszcze bardziej by pomóc innym, o których
domyślał się, że jest im ciężko. Wprawilo to w zakłopotanie
Helenę, ale wierzyła wtedy jeszcze nie tylko w to, że się zobaczą
po wojnie z mężem, który „był w Kozielsku”, ale i w to, że za
przekaz jaki dostała *zrewanżuje się w Polsce, kiedy się jeszcze
spotkamy*. Wprawdzie wiedziała, że *życie uczy wiele, szczególnie
dzisiejsze*, ale dodawała od razu, że *trzeba mieć nadzieję*. Contra
spem spero. *Bóg naszych ojców i teraz jest z nami*.

Czternastego lipca 1943 roku Kazik dostał zawiadomienie o
kursie strzelania artyleryjskiego dla młodszych oficerów grupy
artylerii. Kurs odbył się w lipcu i w sierpniu, jak zanotował w
swoim wojennym kalendarzu. Kolejny zachowany list Heleny
(listy od Lidki się nie zachowały) nosi datę 29.VII.1943. Pożółkła
koperta w miejscu znaczka ma okrągłą pieczętkę z napisem
„Poczta Polska 130”, a obok data 31.VII.1943. Adres: ppor
Kazimierz Czerwiński, Polish Forces, Persia and Iraq Force, No
571. Adres i cały list napisane są niebieskim atramentem
(poprzednie czarnym). Kazimierz zanotował na marginesie listu,
że przesyłka dotarła do niego 9.VIII.1943 roku. Tę datę ma też
mniejsza pieczętka na odwrocie koperty „Poczta Polowa 118”.

Na dole koperty jest również notatka ołówkiem „written in Polish”.

Panie Kaziku! Najpierw pozwoli Pan, że mu złożę gratulacje z powodu awansu, który Panu chyba już dawno należał. Następnie chcę tylko tyle na usprawiedliwienie swoje napisać, że list z odpowiedzią na ostatni Pański list wysłałam i jestem mocno zdziwiona, że go Pan nie otrzymał. Z zasady odpisuję zawsze wszystkim, a tym bardziej nie miałabym powodu nie odpisywać Panu. Chciałabym jak najdłużej utrzymać łączność z Wami, kochani. Jak się Pan czuje? Czy wszystko złe minęło? U nas różnie, teraz zamiast trochę odpocząć po pracy bo mamy wakacje, to jestem na izbie chorych na malarię i Nusiek też. Ciężko nieraz, ale cóż robić – trzeba przetrwać. Panie Kazimierzu Kochany, wysłałam list przez PCK do Pańskiej Rodziny, ale ostatnio podano oficjalnie do wiadomości, żeby do kraju listów nie wysyłać, tak pewno i list ten nie dojdzie. Czy Wam bardzo ciepło dokucza? Nam też, ale musimy wytrwać. Wy pierwsi, a my za Wami wracamy do Ojczyzny.

Tak więc Kazik, już po kursie i awansie, mógł wędrować dalej przez Bliski Wschód, z nadzieją, że swoją umiejętność strzelania z armat wreszcie wykorzysta i utoruje drogę do Polski. Utoruje ją tym wszystkim, którzy w międzyczasie leczyli się w szpitalach

polowych, dochodzili do zdrowia by podolać trudom pobytu w innym klimacie i trudom wojennej podróży z wieloma przerwami, z długim oczekiwaniem. Oni, mężczyźni z oddziałów frontowych, „szli pierwsi”, a za nimi podążać miały ocalałe z łagrów kobiety i dzieci. I jemu i wszystkim innym dokuczały wprawdzie upały, lecz ożywiała ich nadzieja na to, że fronty się zmieniają, że coraz bliżej tułaczom do ojczyzny. Nie pozwalali, by im brakowało wiary. Może za dużo jej mieli, może nie powinni wierzyć bez zastrzeżeń, na przykład polowej poczcie, ale tak bardzo potrzebowali wiary, że nawet i poczcie wierzyli, chociaż powinni chyba uwzględnić zagrożenie iż jakiś list przepadnie, nie dojdzie. Nie potrafili więc uchronić się przed rozczarowaniem z powodu braku odpowiedzi, w listach pobrzmiwała nuta zdziwienia, a nawet pretensji. Cóż, jeszcze wiara ich miała wielką siłę, a zwątpienia w sens wędrowania i w sens wojowania do siebie nie dopuszczali. Na razie drobne to były rozczarowania, a samo wyjście z niewoli napawało optymizmem. Nawet na łóżku szpitalnym, w malarycznej gorączce, mówili wciąż sobie: musimy przetrwać, bo jesteśmy na drodze do ojczyzny. Ten „wielki zbiorowy obowiązek” przetrwania był przecież zbiorem niewielkich, czasem bardzo dziecinnych obowiązków. Takich, jak uczenie się w szkole, sprzątanie, przygotowywanie posiłków, przyjmowanie lekarstw, czy modlitwa. Aby przetrwać, nie ulec. Nie poddać się choćby lenistwu, czy chorobie. Bo to też wrogowie, tacy jak ci na froncie. Jak i ci, którzy zabijali głodem i katorżniczą pracą. Nikomu i niczemu nie wolno więc było ulec.

Zwłaszcza własnym słabościom. Skarżyć się można było tylko na upał, na klimat, nie na skromne wyżywienie, życie w szałasach. By przetrwać, dotrwać.

List z 24.VII doszedł do Kazimierza 2.IX. Obok okrągłej pieczęci poczty polowej jest też okrągła fioletowym tuszem, cenzora 103 oraz notatka „on active service”. Helena dziękuje z kolejną przesyłką, ale tym razem już nie „karci”. Ma tylko wyrzuty sumienia, jest wdzięczna. I pisze: *My tu już po malariach, zdrowi, ale jak długo nie wiadomo.* Mówi też o wakacjach, że się kończą, ale gdzie zaczniesz nowy rok szkolny, w jakim obozie uchodźców znajdzie się ich grupa, jeszcze nie wiedzą. *Wygląda na to, że Afryka aktualna, więc prawdopodobnie wybierzemy się na dalsze zwiedzanie świata.* Jednak to nie narzekanie na zmiany pobytu, bo *jak dotąd, te wycieczki nam się dość udają, tak nam przynajmniej piszą ci, co są już w drodze.*

Oni, ci słabsi, też pojadą jak tylko nabiorą sił po chorobach. A dzieci nawet cieszą się perspektywą zwiedzania świata. *My może napiszemy z Ahwazu. Nusiek najwięcej zadowolony z wędrowania. Jeszcze raz dziękuję, życzę zdrowia i powodzenia. Serdeczne uściski od Cioci i dzieci.* I rzeczywiście, kolejny list z datą 10.X.1943 jest już z Ahwazu (Obóz Przejściowy, Blok 3, Obóz B).

Znów jesteśmy w innym miejscu. Wybraliśmy się w dalszą podróż, ale niedaleko zajechaliśmy. Na razie siedzimy w Ahwazie, kiedy dalej wyjedziemy, nie wiemy. Ciekawam czy ten list podąży za Panem, bo przypuszczam, że jak inni tak i Pan, zmienił już swoje miejsce pobytu. Jak z malarią, bo ta naprawdę potrafi zniszczyć człowieka? Janusz, ten stary malaryk, już leży w szpitalu, nim zmienił powietrze. Zmiana niewiele mu pomogła. Może się wyleczymy, ale w naszym klimacie. Kiedy wreszcie nastąpi ten dzień szczęśliwy, że będziemy mogli wybrać się w drogę do Polski? Niech Pan wierzy, Panie Kaziku, że często jest tak, że nerwy nie wytrzymują, tylko jedyna nadzieja, że kiedyś może będzie inaczej trzyma przy życiu. Życie jest nieraz straszne! A może to tylko ludzie są tacy – nie wiem – wszystko jedno – dobrze byłoby już wrócić do swego, do swoich i żyć życiem trochę naturalnym. No ale dość, to taki mój nastrój dzisiejszy.

W Karachi poprawił się nastrój Helenie. Wierzyła, że to przedostatnia przystań w ich podróży do „miejsca przetrwania”. Dwudziestego czwartego lutego podała Kazikowi taki adres: Country Club, Polish Refugee Camp.

Panie Kaziku! Już długo nie pisałam do Pana, gdyż miałyśmy zmieniać miejsce pobytu. Jesteśmy teraz gdzie indziej.

Ostatni list od Pana otrzymałam jeszcze w Awhazie. To przedostatnia przystań naszej podróży. Stąd już będzie niedaleko do miejsca, w którym mamy przetrwać wojnę. Nie wiem też czy i ten list Pana zastanie, ale piszę na wszelki wypadek. Jeśli Pan go otrzyma, proszę pisać do nas na podany adres. Jeśli my zmienimy miejsce, też napiszemy. Ciekawam jak się Pan czuje? Nam jest tu bardzo dobrze. Na razie na nic nie możemy narzekać, chyba tylko na to, że nam trochę pada z góry, ale to przechodzi i znowu pogoda. Wyżywienie świetne, a owoców tu moc, takich jak banany, pomarańcze itp., więc nasza dzieciarnia nic już nie potrzebuje. Jeśli chodzi o materiały na ubrania, to można dostać do wyboru i koloru i w dość niskiej cenie. Gdyby nam tak było do końca wojny, to nie trzeba nam nic więcej. Ja jak zwykle pracuję no i parę rupii zawsze jest. Dzieciarnia się uczy i zdrowo bryka. Zosia już w drugiej klasie, a Janusz w szóstej powszechnej. Wiele serdeczności...

Przez kilka miesięcy wiosennych nie było odpowiedzi od Kazika na ten list, chociaż Helena wciąż była z dziećmi w Karachi. Jedenastego sierpnia skarży się na milczenie Kazika.

Dziwię się bardzo, co się właściwie stało, że Pan tak milczy. Pisałam już stąd równocześnie do Pana Michała i od Niego otrzymałam odpowiedź, a od Pana nie. Niepokoi mię to

trochę. Może zwyczajnie list nie doszedł, ten może Pan otrzyma, jeśli tak, to proszę zaraz odpisać. Jak się Pan, Panie Kaziku, czuje? My starym zwyczajem. Pracujemy, dzień schodzi nam szybko, miesiące mijają, tylko jedno co gorsze, to, że nie możemy doczekać wyjazdu do domu. Tak za tym już tęsknimy. Starczyłoby już nam tej tułaczki. Chce się już być ze swoimi blisko, a tak nic nie wiemy o nich, tak jak oni o nas nic nie wiedzą. Wprawdzie Indie mają wiele uroku, ale dziś na to patrzymy innymi oczyma. Na razie siedzimy w Karachi, może za jakiś czas zmienimy miejsce pobytu, ale w każdym razie w Indiach zostaniemy, więc prosimy pisać. Dzieciaki rosną, Janusz już duży chłopiec, a Zosię też nie wiem czy by Pan poznał.

Następny list (5.X.1944) jest już z „ostatniego etapu tułaczki”, z Valivade (Polish Refugee Camp, Kolhapur, Valivade, India, blok 159 I). Do listu dołączone jest małe zdjęcie Heleny z ciotką i dwójką dzieci, Zosią i Januszem. Janusz wciąż jeszcze jest wychudzony, może trochę z tego powodu, że sporo urósł, jest prawie tego samego wzrostu co matka i ciotka. Cała czwórka sfotografowana została na tle niewysokiej palmy i budynku z mocnymi kolumnami wspierającymi dach rzucający głęboki cień na prawie całą południową ścianę. Jednak nie jest to zdjęcie z Indii, ale z Awhazu, o czym informuje napis na odwrocie: *Persja, Ahwaz, 22.X. 1943, Panu Kazikowi dla wspomnienia, Hela z*

rodziną.

Jednak 5. X. 1944 roku może napisać z Valivade coś innego.

Ucieszyłam się szczerze Pańskim listem, gdyż wiele myśli nieraz ogarnia człowieka, bo wiem gdzie teraz jesteście i co robicie.

Helena wie o desancie morskim pod Anzio (15 - 18 lutego i 15 - 25 marca 1944), o bitwie pod Monte Casino. Drugi Korpus

Polski, w którym służył Kazik, staczał ciężkie bitwy, ponosił duże straty, było się o co niepokoić. Od losów tych polskich oddziałów

zależał w dużym stopniu los wszystkich polskich uchodźców z

Syberii. Życie, które polscy żołnierze narażali i oddawali na

Półwyspie Apenińskim, poświęcali i dla nich, polskich kobiet i

dzieci rozsianych po świecie. Z tego wszyscy zdawali sobie

sprawę. W kalendarzyku Kazika z 1943 roku jest i modlitwa o

Zwycięstwo Chocimskie:

Bądź pozdrowiona, Panno, Matko Boga, Ciebie wzywamy,

wspomóż zwalczyć wroga, ocal nam Polskę w tym srogim

frasunku, niechaj znów dozna Twojego ratunku, przyczyn się

Panno, niech z Twojej obrony zbawienie będzie dla Polskiej

Korony.

A fundator ojców Marianów, Stanisław a Jesu Maria Papczyński,

dodał taki komentarz:

Gaście pożary czyścicowe, bo oto tam, w płomiennej otchłani
goreją ojcowie i matki nasze, bracia i siostry, przyjaciele
wasi, obrońcy ukochanej Ojczyzny.

Zależnym o losy żołnierzy tłumaczył też Słowacki:

Bo kto zaufał Chrystusowi Panu i szedł na święte kraju
werbowanie, ten de profundis z ciemnego kurhanu na trąby
stanie.

O tych, którzy walczyli i którzy polegli za sprawę Ojczyzny
mówił:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy i spać pójdziemy o
wieczornej zorzy, ale w grobowcach my jeszcze żołdacy i
hufiec Boży.

Podobne modlitwy i podobne myśli mieli wszyscy rodacy.

Dobrze, że Pan napisał, przynajmniej ucieszyłam się i
zaspokołam co do Pana. Panie Kaziku, niech Pan źle nie

myśli o prawdziwych przyjaciółach. Nikogo poza Panem i Panem Michałem nie mamy w wojsku, los Wasz jest nam tak drogi, jak chyba dla Was samych. Czytamy w gazetach, słuchamy radia – wiemy ile dajecie z siebie. Wy nam torujecie drogę, czyż Was nie kochać za to, czyż nie zasługujecie od nas przynajmniej na pamięć, bo cóż innego Wam dać możemy – modlitwy i pamięć. Panie Kaziku, jedna prośba, jeśli Pan czasu nie ma, niech Pan nie pisze, ale jeśli znajdzie Pan wolną chwilę, choć parę słów o sobie proszę przesłać, proszę dać znać, że Pan żyje i jest zdrow, bo to dziś najważniejsze. Przepraszam z góry za niedyskrecję, ale jak tam z sercowymi sprawami – myślę, że te powinny być w najlepszym porządku, przecież do Was młodych świat należy! A teraz coś o sobie. Otóż, jak z adresu Pan się zorientuje, jesteśmy znów gdzie indziej. Jest to już ostatni etap naszej tułaczki. Tu mamy przetrwać czas aż do powrotu do Polski. Nie jest to już obóz. Jest to osiedle, powiedzmy małe miasteczko. Nie odczuwamy tu wojny wcale. Mamy wszystko, jeśli chodzi o żywność i ubranie. Osiedle pięknie położone w górach, mniej więcej na wysokości naszego Zakopanego. Klimat nawet możliwy, jak na Indie.

Mieszkania mamy rodzinami. Każdy dla siebie, nie tak jak w szałasach. Ja na swoją rodzinę mam dwa pokoiki i kuchenkę. No i skromne, ale niezbędne umeblowanie. Kuchnię prowadzi Ciocia, gotuje i pitrasi. Na wyżywienie

otrzymujemy gotówkę i za to wszystko kupujemy, o wiele lepsze to życie niżli życie wspólne z kotła, tak jak było w obozach. Ludzie, którzy tu dawniej przebyli, czują się doskonale i świetnie wyglądają. I my mamy nadzieję, że się też poprawimy, jak tu dłużej pobędziemy. Ja na razie nie pracuję, zaczniemy po przerwie, która tu będzie przez październik, gdyż w tym miesiącu mają być jeszcze upały. Mamy też na miejscu kościół, świetlicę, salę teatralną, kino, no i kto co chce. Do miasteczka Kolhapur jest blisko i można jeździć, tylko muszę Panu dodać, że wszyscy leżymy na malarię, ale co najgorsze minęło, a potem będzie dobrze, tym proszę się nie przejmujemy wiele. Przepraszam, że tak się rozpisałam, ale chcę się z Panem podzielić wiadomościami, by Pan wiedział, że jest nam dobrze. Mocny i przyjacielski uścisk dłoni. Przesyłam zdjęcie amatorskie, ale jeszcze z Ahwazu, może sobie Pan nas przypomni.

List był napisany na gładkim, niebieskim papierze w linie. Koperta też była porządniejsza niż do tej pory, w kolorze różowym, z nadrukowanym fioletowym znaczkiem o wartości 8-as, z podobizną Króla Jerzego I i napisem: India Postage. Nadruk niebieskim tuszem: „For correspondence to H. M. Forces only; weight not to exceed half an ounce (do korespondencji wojsk J.M., waga poniżej pół uncji); Rank: p.por; Name: Czerwiński Kazimierz; Company, section, etc: C.M.F. Unit or appointment:

Polish Forces No. 571, c/o base air post depot, Karachi (stopień, kompania, oddział, itd... oddział lub przeznaczenie: Polskie Oddziały nr 571, przez pocztę lotniczą bazy w Karaczi). Znaczek był ostemplowany, z datą 6 października 1944 roku. Obok okrągłą pieczęć i nadruk: by air mail, par avion. U dołu koperty odręczna notatka: written in Polish (napisano po polsku). Na odwrocie jeszcze dwie okrągłe pieczętki: Base Office i druga nieczytelna oraz biała nalepka: Opened by Examiner (otwarte przez inspektora).

Nadeszła zima. Sytuacja na frontach Drugiej Wojny Światowej stawała się coraz pomyślniejsza dla Aliantów. W listopadzie Helena składa Kazikowi życzenia świąteczne, życzy „spełnienia marzeń”. Do listu z 17.XI. doszyte zostało biało-niebieskie serduszko wypełnione opłatkami. Opłatek jest dziś pokruszony, jego cząstki szeleszczą pod palcami, ale materiał nie zmienił koloru, jest nadal mocny, tak samo jak nitka oplatająca serce. Dwa kawałki jasnego materiału wycięła Zosia w kształt serca i zszyła je niebieskimi nitką, grubą nitką.

Łamiąc się opłatkami w gronie najbliższych, myślami jesteśmy z Wami. Łamiemy się opłatkami i życzymy sobie wspólnie by nasze marzenia zostały zrealizowane jak najprędzej. Życzymy w pierwszym rzędzie zdrowia i szczęśliwego powrotu do Ojczyzny, do najbliższych. Oby od

tego Nowego Roku wszystko zmieniło się na nowe i dobre!
Co u Pana słyhać, bo u nas po dawnemu. Żyjemy nadzieją,
że się wszystko wnet zmieni i będzie dobrze. Wiele
serdecznych pozdrowień śle Hela z Ciocią i dziećmi.

Wierzyli, że armia Polska podąży „z ziemi Włoskiej do Polski”.

Podczas i po bitwach na Półwyspie Apenińskim nie tylko Helena z Valivade martwiła się o los podporucznika Czerwińskiego. Martwiła się też rodzina we Lwowie. Aby zapobiec dalszym zmartwieniom, Kazik wysłał 13 lutego i 21 marca dwie depesze przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Podał taki adres: ulica (rue, street, via) Sh. El Aziz Osman, miejsce, locality, localita) Cairo - Zamalek, kraj (pays, country, paese) Egypt. Wiadomość zawierać miała nie więcej niż dwadzieścia pięć słów.

Jestem zdrów, dziękuję za pozdrowienia i ucałowania. Mam dużo szczęścia i wiele powodzenia. Serdecznie wszystkich pozdrawiam i mocno całuję.

Depesza wędrowała do Lwowa przez Genewę i Berlin. Obok cenzora egipskiego, swoje pieczątki odbili urzędnicy Czerwonego Krzyża w Kairze, Genewie i Berlinie. Kazik otrzymał odpowiedź dopisaną na obydwie depesze.

Kochany Kaziuniu! Jesteśmy wszyscy zdrowi. Tobie życzymy dużo szczęścia i zdrowia. Dałby Bóg żebyśmy się wszyscy zobaczyli. Całujemy Cię serdecznie i mocno, najwięcej Babcia (odpisano we Lwowie 17 czerwca i 3 lipca 1944 roku).

Korespondencja do okupowanej Polski docierała z większymi trudnościami niż z Valivade do miejsc postoju Drugiego Korpusu. Aby się upewnić, że Kazik otrzymuje wiadomości ze Lwowa, oprócz odpowiedzi na odwrocie depeesz Kazika, rodzina wysłała własną depeeszę 13 lipca 1944 roku, z tą sama treścią. Szła ona też długo przez ręce urzędników, ostatni z nich użył swojej pieczęci z czerwonym tuszem 12 września. W listopadzie poczta polowa na Bliskim Wschodzie przeadresowała kopertę na Wyspy Brytyjskie. Polski urzędnik wojskowy dopisał na kopercie: „użył do Anglii”. W międzyczasie Delegatura Polskiego Czerwonego Krzyża starała się pomóc swoimi sposobami. Pod koniec lipca wysłano z Kairu na adres „Polish Forces CMF 570” wiadomość o poszukiwaniu podporucznika Kazimierza Czerwińskiego przez rodzinę.

Otrzymaliśmy list dla Pana Kazimierza Czerwińskiego od Antoniny Seidel, Lwów, Mączyńskiego 21. „Dowiadujemy się o Twoim zdrowiu i powiedzeniu. Bardzo się tem martwię, że

nie dajesz o sobie znać. My jesteśmy wszyscy zdrowi. Pa, Kaziuniu, Babcia". Prosimy o zawiadomienie czy list ten dotyczy Pana celem ewentualnego przesłania go na Pana adres.

Przez następnych kilka miesięcy Kazik nie odpisywał na list świąteczny Heleny lub listy nie docierały do Indii. Helena znów się martwi. W liście z 21 kwietnia 1945 roku pisze o tym, powołując się na korespondencję z Panem Michałem, od którego dostała odpowiedź.

Panie Kaziku! Nie wiem sama co mam myśleć o tym. Ostatni list pisałam do Pana po przyjeździe na nowe miejsce pobytu, w którym mieliśmy przetrwać do końca wojny. Od wysłania listu do Pana upływa już kilka miesięcy, bo wysłałam go stąd w październiku ubiegłego roku. Pisałam w tym czasie do Pana Michała, od którego otrzymałam już odpowiedź. Ale co się stało z Panem? Tego nie mogę sobie wytłumaczyć. Niech Pan zechce zrozumieć, że myślimy o Was, jak o kimś bliskim, bo nic nas nie wiązało, a jednak byliście nam tak bliscy. Dziś los Pański obchodzi nas jakby Pan był z naszej bliskiej rodziny. A wiemy i zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, w jakich Pan teraz żyje warunkach i na co jest narażony. Janusz często mi przypomina, żeby napisać jeszcze raz do Pana, boi się czy aby się coś złego nie stało. Ale bądźmy szczerzy,

Panie Kaziku. Jeśli może Pan sobie nie życzy utrzymywać dalszej korespondencji z nami, to nie będzie mnie to wcale dziwiło, jeśli Pan otwarcie do tego się przyzna, a my tutaj będziemy przynajmniej spokojni o Pański los.

Może wprost Pan nie ma czasu na pisanie listów. Cokolwiek będzie powodem Pańskiego milczenia, na wszystko się zgodzę, byle tylko było szczere. Przepraszam za tę natarczywość z naszej strony, ale niech wiem przynajmniej co się z Panem dzieje. Zasyłam wiele serdeczności.

W sierpniu nadszedł jednak do Valivade długo oczekiwany list od Kazika. Na ten i kolejny, z lutego, odpowiada Helena 25 lutego 1946 roku.

Za list z sierpnia i ostatni z 28 lutego bardzo dziękuję. Dlaczego na poprzedni list nie odpisałam, bo, Panie Kaziku, nie chciałam się już narzucać swoją korespondencją. Jakiś czas była ona przerwana między nami, ale jeśli Pan sobie życzy, możemy nadal pamiętać o sobie. Naprawdę gdy szły boje, niepokoiłiśmy się często o Was, o Pana i o Pana Michała. Z Panem Michałem utrzymujemy nadal korespondencję. Czy Panowie piszą do siebie? Przy okazji podaję Panu jego numer, może Pan nie ma adresu? M.S. Polish Forces, 309. Panie Kaziku, czasy teraz okropne. My

też czekamy na coś, co może zmieni sytuację na świecie, a tym samym dla nas. Bo przecież nie można się z tym pogodzić, żeby tak miało pozostać! To już przecież nie idzie tylko o nas Polaków, ale cała Europa jak wygląda? Tak być nie może! U nas teraz mówi się o zmianach. Ma nas wziąć w swoją opiekę U.N.R. Jak to będzie wyglądać, tego dziś nie wiem, ale mamy dostawać tylko na utrzymanie, a za pracę już nie ma być żadnych wynagrodzeń. Jedno tylko co nas wszystkich przeraża, to, żeby U.N.R. nie wywiozła nas tam, gdzie nie chcemy jechać. Bo mają nas stąd rozesłać, ale gdzie, dotąd nie wiadomo. Byle tylko nie do Polski, do takiej jaka teraz jest.

Co do Armii, to raz słyszymy o demobilizacji, to znowu co innego, tak, że nie wiadomo w końcu co z naszym wojskiem będzie. A ono jest naszą jedyną nadzieją, bo dopóki jest nasza armia, to zdaje się, że i my jeszcze mamy jakieś znaczenie w świecie. A jeśli miałyby nastąpić demobilizacja, to co byłoby wtenczas z nami? Ale jakoś miejmy nadzieję, że wszystko obróci się na dobre! Jak Pan się czuje, Panie Kaziku? Jak Pan ze zdrowiem, bo to najważniejsze.

Przypuszczam, że w Szkocji chyba klimat odpowiedni? Ale co Pan pisze o rodzinie W. Wilczkiewicza, to chyba zwyczajna plotka, bo dowiedziałam się, że jest on z rodziną w Afryce. Gdy wyjeżdżałam z Teheranu z pierwszego obozu, on jeszcze tam został. Podaje Panu jego adres: Polish Red Cross, P.O.

Box 1882, Nairobi. Oni są w Makindu. Proszę napisać do Nairobi, a zaznaczyć, że są w Makindu. Nie wiem czy poznałby Pan teraz Zosię. Janusz już mnie przerósł, a ona dopędza. Lata idą, dzieci rosną, a człek się starzeje. Serdecznie pozdrawiam.

Radosne westchnienia z poprzednich listów „oby do Ojczyzny” zmieniły się na bolesne westchnienie „byle tylko nie do takiej Polski jak teraz”. Zdrada sprzymierzeńców, bezwzględność nowego najeźdźcy, którego oni, Sybiracy, już przecież dobrze znali, musiały powodować wielki ból. Z bólem powtarzać mogli tylko za Norwidem jego „Pieśń do ziemi naszej”. Do ziemi, gdzie znów świeci szubienica. I gdzie jest mój środek, moja stolica... trąd jad i brud. To od Wschodu: mądrość-kłamstwa i ciemnota, karnośći harap lub samotrzask z złota. A na Zachód? Kłamstwo-wiedzy i błyskotność, formalizm prawdy – wewnętrzna bez-istotność, a pycha pych! Czy więc mam czekać cię, Zachodzie – ty...!, ja głupi Słowianin? Tobie, Wschodzie znaczę dzień widzenia, gdy już nie będzie sumienia w ogromni twej. Południe! Klaszczesz mi, pomagasz cieszyć się, więc klaszczę tobie, twemu ciepłu i pięknu. Przyklaskujmy, póki możemy. A ciebie minę, o głucha Północy, i wstanę sam. Braterstwo ludom dam, gdy lzy osuszę, bo wiem, co własność ma – co ścierpieć muszę; bo już cię znam. Już was znam, Rosjanie i Niemcy! A zwłaszcza Rosjanie: biorący dziejów ludzkich poważną księgę jak tabuna grzywę...

Wy, to duża kolonia holenderska, której się Oryginalność śni, z dołu w meszty ubrana z Perska, Niemców mózg, pot – Słowian, misja – krwi... ależ Wy?! Nie Ruś wy – wy – Germany! Tak pisał Norwid „Do publicystów Moskwy”. Ból Norwida, gdy pisał te strofy, pomieszał się z bólem wielu tysięcy Polaków, którzy je czytali i wciąż na nowo odczytują. Tych, którzy poznali Syberię z książek i tych, którzy sami jej doświadczyli. „Pisałem oktobra 1868 roku w Paryżu”, odnotował Norwid pod swym wierszem do moskiewskich publicystów. Helena i Kazik mogli powtórzyć te same słowa pisząc do siebie w 1946 roku.

W bardzo zniszczonej, pozbawionej znaczka kopercie znajduje się list Heleny z 8 maja 1946 roku zaadresowany do porucznika Kazimierza Czerwińskiego, P. O. Box 260/15 (skreślono 15, dopisano 95), G.P.O. London EC 1.

List polecony z 21 maja otrzymałam, bardzo Panu dziękuję. Widzę, że Pan się przejmuje moimi listami i chce Pan nam przyjść z pomocą. Ale niech Pan mi wierzy, że nieraz człowiek nie chciałby pisać tego wszystkiego co w tej chwili czuje, by nie zatruwać drugim też nieraz niewesołego, bo na obcej ziemi, życia. Ale cóż robić, nieraz taki nastrój ogarnie człowieka, a jak się przed kimś wywnętrzy, to zdaje mu się, że lżej się robi na sercu. Ale proszę tym się nie zajmować i sobie uszczerbku nie robić, bo jak wygląda życie teraz

choćby w takiej Szkocji czy Anglii, to sobie można łatwo wyobrazić. Teraz na pewno spodziewacie się jeszcze więcej gości, bo jak głoszą, wojsko z Włoch ma być przerzucone do Anglii. Wyobrażam sobie jak to będzie tam dobrze. A co dalej - tego na razie nie wiadomo. Co z nami cywilami będzie to Bóg jeden raczy wiedzieć. Może pojedziecie (to znaczy wojsko) do Ameryki, a my... ale co się tu martwić, kiedy nic z tego nie wyjdzie.

Panie Kaziku, ucieszyliśmy się bardzo Pańskim zdjęciem, muszę dodać, że wygląda Pan bardzo poważnie, ale wcale nie źle. Nie mam na myśli „powagi” z racji wieku, bo tak źle na pewno nie jest. Zośka nie może sobie Pana przypomnieć, przecież to było jeszcze małe dziecko, a dziś ona już ma pretensje do „panny” choć jeszcze nie skończyła 10 lat. Acha, p. Lidka wyszła za mąż, jest we Włoszech.

Przypuszczam, że to Pana dziś nie bardzo wzrusza, bo chyba wiele się zmieniło, ale, przepraszam za żart, niech Pan Szkotki nie uszczęśliwia, bo one nie warte tego, a naszych panienek tyle czeka na koniec wojny. Za ten żart nie wolno się obrażać na mnie. Od Zośki i Cioci ucałowania, od dużego Janusza cześć.

Na zdjęciu z wojskowej legitymacji Kazik wygląda rzeczywiście „poważnie”. Na twarzy nie ma śladu uśmiechu. Może przejścia

wojenne ostatnich miesięcy, może trochę też rozczarowania osobiste, może inne jeszcze powody wpłynęły na to, że patrzy teraz wzrokiem surowym, silnym. Nie wiem czego mógł dotyczyć dopisek Heleny z kolejnego listu: *jak widzę, niezbyt dobrze się Pan czuje*. Kiedy przez trzy lata przemieszkiwałem z nim pod jednym dachem w Chicago pod koniec lat siedemdziesiątych, nie skarżył się na żadną chroniczną dolegliwość wyniesioną z wojska. Nie wykluczone jednak, że coś umknęło mojej uwagi. Na fotografii zrobionej na ulicy jakiegoś dużego brytyjskiego miasta uśmiecha się wprawdzie, ale nie jest to uśmiech tak radosny jak idącego obok szkolnego kolegi ze Lwowa, Zbyszka Nowotnego.

Za list i przesłane w nim życzenia serdecznie dziękuję, napisała Helena 14.V.1946 roku.

Jak widzę z listu, niezbyt dobrze się Pan czuje. Nie wiem tylko dlaczego Pan się dostał do Szkocji? Bo jak się orientuję, to tylko jechali tam z Włoch Ci, którzy byli ranni, ale może się mylę. Panie Kaziku, co dalej będzie z nami, Polakami? Naprawdę sytuacja w tej chwili jest beznadziejna. Jeśli jakaś wojenka nowa nie wykroi się to będzie wszystko na nic. Choć z drugiej strony, gdy pomyślimy o tym ostatecznym naszym wyjściu, tj. o walce zbrojnej, to aż żal, że ta garstka żołnierzy, która pozostała przy życiu miałaby jeszcze złożyć wielką ofiarę, ale zdaje się, że to ostateczność, która może

nam dać wolność i kraj. Naprawdę już tak tęskno do Ojczyzny, ta tułaczka już się uprzykrzyła i co gorsza nie widać wcale jakiegoś dobrego końca. Ten klimat, warunki życia zdaje się coraz to gorsze, już człowiekowi nerwy odmawiają posłuszeństwa.

Dziś zdaje się biegłby człowiek do Polski, ale cóż, do tej teraz nam nie wolno, bo jesteśmy wojsko, emigracja. Czy to nie ironia losu? U nas od czerwca będą duże zmiany. Obejmują nas U.N.Ra. Przeważnie dotyczą te zmiany pracujących. Teraz tutaj dzielimy się na pracujących i niepracujących, ci ostatni nic nie tracą, zasilek żywnościowy pozostanie ten sam. Natomiast nam, pracującym, odliczają za pracę, głupstwo – parę rupii na wydatki, ale jakie? Zresztą są ludzie, którzy gorzej mają, jak ci w Polsce, czy pozostali w Rosji. Tak trzeba myśleć, a będzie łatwiej przeżyć. Najważniejsze, że z głodu na pewno nie umrzemy, o resztę nie ma się czego martwić. Czy wiecie już może co Anglicy mają zamiar zrobić z Polakami? Widocznie jest to dość trudny orzech do zgryzienia. Nie tak widocznie łatwo puścić ludzi na pastwę losu, a może jeszcze liczą na to, że wojsko nasze przyda się na coś. Zdaje się, że Anglicy i Amerykanie nie wierzą w pokój, póki Stalin dyktuje warunki. Może doczekamy tej chwili gdy oni znikną z powierzchni świata – byle tylko jak najszybciej to nastąpiło. Ale trzeba, Panie Kaziku, być dobrej myśli i wszystko będzie dobrze. Ma Pan

może jakieś wiadomości z Polski o rodzinie? Życzę serdecznie przetrwania, od dzieciaków i Cioci uściski.

A więc zostały tylko życzenia przetrwania. Nie powrotu do ojczyzny, nie radości z ujżenia bliskich. *Jeśli mi Polska ma być archaiczną lub socjalizmu rozwinąć pytanie, to już ja wolę tę panslawistyczną, co pod Moskałem na wieki zostanie*, drwił Norwid w 1850 roku. Zapewne nie sądził, że i tę drwinę „rozwiną” zarówno obcy jak i rodacy. Jak i nie sądził, zwracając się „Do Moskali-Słowian” w wierszu przypisanym „braciom Warszawianom w upominku”, że mówi jak *mąż szczery: grzech, póki nie wyjawion - mocny*. Mówi nie tylko o Katyniu, ale i Warszawie. Nie tylko o stolicy pełnej więzionych i torturowanych, ale i pełnej gruzów, po nieudanym, a sprowokowanym, jakby na okrutną drwinę, powstaniu warszawskim.

Moskale bracia! Co w was jest szatanem, tegośmy na chrzcie polskim się wyrzekli, tego już wasza moc w nas nie rozwściekli; dał Bóg, że widmem to i odpoznanem; dał Bóg, i po to w świat my się rozwlekli... ale co pychą jego, to was trzyma, jak zabitego kolano olbrzyma, w miedź rudą zbroi zakowane trwalej; jak wielki odłam w drzewi zwałonej skały trzęsieniem ziemi o dobie północnej; jak grzech, co póki nie wyjawion - mocny!

List z maja, to ostatni list z Valivade, jaki odnalazłem wśród rzeczy Kazika. Inne są z Polski, z późniejszych lat i nie dotyczą losów zesłańców syberyjskich. Kazik został zdemobilizowany w 1947 roku. Z listopada 1946 roku pochodzi karta nr A 24092 zezwalająca porucznikowi Kazimierzowi Czerwińskiemu na pobyt w Londynie. Instrukcja dla zdemobilizowanych lub przeniesionych do rezerwy obowiązująca w Wielkiej Brytanii, Północnej Irlandii i na Isle of Man ma odręcznie naniesioną datę: 20 czerwca 1947 roku. Z 7 czerwca 1948 roku jest karta PCK informująca o przyjęciu do Polskiego Czerwonego Krzyża porucznika Kazimierza Tadeusza Czerwińskiego. W 1951 roku został wydany przez Brytyjskie Ministerstwo Obrony dokument zaświadczający o służbie wojskowej i przyznanych odznaczeniach. Są w nim podane informacje o służbie w polskich siłach zbrojnych pod brytyjskim dowództwem, od 1 kwietnia 1942 na Bliskim Wschodzie do 19 czerwca 1947 roku.

Brał udział w kampanii wrześniowej w Posłce, deportowany do Rosji, potem w Armii Polskiej w Rosji, od 9 września 1941 roku do 31 marca 1942 roku.

Medale polskie to Krzyż Walecznych, Krzyż Monte Casino; medale brytyjskie to Gwiazda Wojenna 1939-1945, Gwiazda Włoska, Medal Wojenny za lata 1939-1945, Medal Obrony. Honorowe zwolnienie ze służby nastąpiło 19 czerwca 1949 roku,

a od 1 kwietnia 1947 roku Kazik pobierał pieniądze z listy dla bezrobotnych. W 1951 roku został rezydentem, a potem obywatelem amerykańskim. Listy od rodziny z Polski były kierowane w 1947 roku na adres: Polish Board of Technical Studies, Chemistry Department, 4, Warwick Square, Victoria, London SW1, Great Britain. Indeks represjonowanych w ZSRR opublikowany przez Ośrodek Karta wymienia Kazimierza Czerwińskiego, syna Marii i Karola, urodzonego we Lwowie w 1916 roku w kategorii „jeńcy wojenni”. Areszt od 19.IX.1939 w Stanisławowie, przebywał w obozie w Krzywym Rogu na Ukrainie, potem, od 29.VI.1940 w Komi RA, Siewżełdołag, potem w Juży, Obłast Iwanowska, u Andersa od 2.IX. 1941 roku (Buzułuk). Kazik pracował w Stanach jako chemik w dużym laboratorium aż do przejścia na emeryturę. Nawiązał kontakty ze znajomymi w Polsce po roku 1956. Kilka razy był w kraju. Korespondował z narzeczonymi w Anglii, Stanach i w Polsce, ale nigdy się nie ożenił. Zmarł 5.X.1996 roku w Chicago i został pochowany na cmentarzu Maryhill, grób nr 14, blok 21, sekcja 5.

Pudła z ocalałym skromnym dobytkiem zostały dostarczone do Wrocławia na prośbę mego ojca. Nikt z jego rodziny wówczas już nie żył. Mój ojciec przyjaźnił się z Kazimierzem od 1926 roku, kiedy rodzina Sawickich przeniosła się z Kopyczyniec do Lwowa. Zbyszek Sawicki zmienił wtedy szkołę Powszechną w Kopyczyńcach na lwowską im. Marii Magdaleny. Chodzili do tej samej klasy. Kazik wspomina o pojawieniu się Zbyszka w szkole

w ten sposób.

Był luty, zimowa pogoda. W ławce zasiadł ktoś nowy, w dziwnym dziecięcym ubranku. Mało mówi, rozgląda się tylko jakby się obawiał czegoś lub kogoś. Gdy pani profesor przedstawiła go klasie, poczuł się normalnym uczniem.

W Jedenastym Państwowym Gimnazjum przy ulicy Szymonowiczów, przez osiem lat aż do matury przyjaźnili się, wracali razem do domu. Była ich mała, zżyta grupa: Zbyszek Nowotny, który oddzielał się w drodze powrotnej już przy ulicy Listopada (mieszkał koło sanatorium „Wisła”), Zygmunt Hoszowski kierował się na ulicę Świętej Teresy nr 3, a Kazik Czerwiński wchodził w ulicę Murarską, Zbyszek Sawicki szedł zaś jeszcze dalej, do budynku nr 37 przy ulicy Nabelaka.

Kazik miał smutne lata młodości. Wychowywali go dziadkowie i wujostwo. Ojciec wpadał czasem w odwiedziny. Miał trudną pracę w policyjnym wydziale politycznym. O matce Kazik nigdy nic nie mówił. Zmarła prawdopodobnie w dniu jego urodzin. Czasem ze smutkiem w głosie zwierzał się kolegom, że zazdrości im domu, rodziców i rodzeństwa. Powiadał wówczas, że rodzina to najdroższy skarb od Boga, którego trzeba strzec i pamiętać by go nie stracić. Był koleżeński, dokładny, a nawet drobiazgowy. Dbał o czystość i elegancję. Interesował się żywo

koleżankami, ale wyznawał żelazną zasadę, że wszystko w życiu powinno toczyć się bardzo wolno, a postępować należy z niezwykłą rozwagą.

Spisane w maju i czerwcu 2004 roku



Fot. Stefan Hoffmann, Pixabay

„Cudak” Anny

Kazejak



Fot., materiały prasowe

Film zostanie pokazany podczas Austin Jewish Film Festival, w niedzielę, 14 listopada o godzinie 2:15 pm.

Więcej informacji na stronie festiwalu:

<https://austinjff.org/events/the-musicians-2/>

*

1h 22 min., dramat, II wojna światowa, 2021 r.

Reżyseria: Anna Kazejak

Scenariusz: Marek Kreutz

Zdjęcia: Jakub Stolecki

Muzyka: Joanna Duda

Obsada: Kazimierz Mazur, Andrzej Kłak, Diana Zamojska, Natalia Skrzypek, Agnieszka Sienkiewicz-Gauer

*

Historia oparta na faktach

Roman Cudakowski, dla przyjaciół – Cudak – przed wojną gra w zespole występującym na weselach i imprezach miejskich.

Jednak w czasie okupacji muzyk nie radzi sobie. Może dorobić grając dla Niemców, ale zespół muzyczny musi mieć skrzypka.

Cudak postanawia wyprowadzić z getta utalentowanego muzyka Szymona Akermana, mimo, że przed wojną, był jego największym konkurentem i Cudak miał do niego żal o odebranie mu zleceń, na które liczył. Jednak w nowej rzeczywistości obydwaj potrzebują siebie nawzajem. Im lepiej się poznają, tym bardziej zacierają się dzielące ich różnice. Roman postanawia też pomóc skrzypkowi, ratując jego rodzinę z getta, ukrywając ich w swoim domu, ryzykując życiem.

Film jest dedykowany wszystkim, którzy pomagali Żydom podczas okupacji, narażając życie swoje i swoich bliskich.

*

Anna Kazejak

Od reżysera

W konfrontacji z tematem takim jak Holocaust, reżyser musi podjąć kilka kluczowych decyzji, po pierwsze pokazać temat z nowej perspektywy, tak jak jest on obecny w kulturze od lat, a po drugie, by nie popaść w odrętwienie spowodowane skalą ludzkiego cierpienia i faktem, że historia oparta jest na rzeczywistych wydarzeniach. Wszystkie koncepcje produkcyjne, castingowe i artystyczne opierają się na zestawie najważniejszych elementów, tworząc w efekcie esencję filmu.

RELACJE - najważniejszym elementem opowieści jest wyjątkowa relacja między dwoma mężczyznami - utalentowanym muzykiem Akermanem i prostolinijnym Polakiem Cudakiem. Ich związek przechodzi wiele faz - od wrogości, przez współpracę, po wzajemną troskę o siebie. Łączy ich wiele - pochodzenie, wykształcenie, wrażliwość, ale to, co naprawdę ich łączy, to miłość do muzyki i do rodziny. Główni bohaterowie nie są idealni. Są prostolinijni, szlachetni, choć czasami nie potrafią dostrzec złożoności świata, w którym żyją. To ukochana w kinie „dziwna para” - ludzie, których połączył los, ale którzy nie mogliby być bardziej różni.

MUZYKA - Poprzez urządzenie do kadrowania, stworzone przez sekwencję otwierającą film i jego epilog, chcę opowiedzieć więcej niż historię dwóch muzyków. To opowieść o dwóch kulturach, które przez wieki istniały obok siebie i tworzyły wspólną tożsamość. Metaforyczna jest ostatnia scena, w której Akerman gra utwór skomponowany przez Cudaka, z elementami muzyki klezmerskiej. Jest to więc opowieść o tym, że wyjątkowość i odrębność każdej mniejszości może współistnieć w jednym społeczeństwie.

OBRAZ - Kamera znajduje się blisko głównych bohaterów, podąża za nimi, pokazując wydarzenia ich oczami. Pomaga to widzom identyfikować się z nimi i wciąga ich, aby mogli lepiej zrozumieć warunki, w których żyli bohaterowie.



Fot. materiały prasowe



Agnieszka Sienkiewicz-Gauer, jako Regina w filmie „Cudak”, fot. materiały prasowe